

mu przypominaniu sprawy polskiej przez powstania i rewolucje, mógł ks. Adam Czartoryski tak rozległą uprawiać politykę.

Oczywiście dążyć się to mogło i dzięki tym samym czynnikom, które Napoleon już na wygnaniu na św. Helenie przy rozważaniu „kampanii polskiej”, której przyczyną i celem miała być Polska, pisał: „To była wojna zdrowego rozsądku i interesu ogólnego, wojna dla spokoju i bezpieczeństwa, powszechności, wojna wyłączenie pokojowa i zachowawcza, nawskrosz kontynentalna i europejska. Jej sukces byłby zapewnił równowagę mocarstw, stanowiąc takie na nowo stosunki, które na miejscu niebezpieczeństw dnia dzisiejszego utrwałyby pokój przyszłości”. „Gdybym wygrał, byłbym przywrócił za wszelką cenę Polskę jako państwo odrębne i niepodległe”, gdyż dla Europy odbudowa Polski była konieczna, „Polski, będącej prawdziwym kluczem całego sklepienia europejskiego” („La Pologne, cette véritable clef de toute la voûte européenne”). Ten wielki znawca Europy rozumiał to doskonale. I tymi samymi śladami znaczenia Polski dla polityki europejskiej szedł Hotel Lambert.

Przedstawiciele i agenci księcia działali na wszystkich dworach. Czartoryski, aczkolwiek z przekonaniem monarchista, reprezentując w swoich zamierzeniach politykę wolności narodowościowej, wierząc, że ta polityka musi dać w efekcie swoim końcowym realizację wolności i dla Polski. Wysiłki Czartoryskiego współdziałają w tworzeniu świadomości narodowej Węgrów, Czechów, Rumunów, Bułgarów, Serbów, Włochów. W r. 1839 wyjeżdża agent Czartoryskiego na Wołoszczyznę, by działać zagadając na bojarów w ich stosunku do chłopów. Później wraz z Zamoyskim niepodległy ruch rumuński, jego przedstawiciela Jana Campineanu wprowadza w sferę polityczną Paryża. Podejmuje na całych Bałkanach hasła swobód religijnych, narodowościowych.

Ks. Adam popiera więc dążności Serbów, a szczególnie Wuczića i Petroniewicza. Agent jego, Franciszek Zach, na życzenie ks. Aleksandra Karageorgiewicza przybywa do Serbii, udziela rad co do polityki wewnętrznej i zagranicznej, organizuje wojsko. W r. 1848 przybywa na południe płk. Bystrzonowski, by ułatwiać transport broni i ochotników przez Bośnię do Triestu i Wenecji, walczącej z Austrią. Przeszkodził on również tworzeniu nowych batalionów serbskich, które miały pojsć na Włochy.

Gen. Dembiński układa projekty konfederacji polsko-rumuńsko-węgierskiej, a Jan Ghica zawiera z Czajkowskim w Konstantynopolu umowę o oficerów polskich w Legionie rumuńskim.

Dzięki tej akcji Legion węgierski po krwawym stłumieniu przy pomocy gen. Kuropatkina powstania węgierskiego, znajduje gościnę wśród Serbów. Z Legionem przybywają Bem, Dembiński, Kossuth. Czartoryski stara się o otrzymanie Cypru dla emigrantów polskich. Tymczasem przebywają oni w Widyń i Szumli, działając wiele dla przyjaźni z Bułgarami i Grekami. Później rozpytują się po świecie. Jedni pojadą do Anglii, inni do Stanów Zjednoczonych. A kiedy Rosja zażądała wydania pozostałych w Widyń „rebiantów”, — Turcja pod naciskiem Anglii i Francji odmówiła.

Problem religii wiązał się ściśle z zagadnieniami narodowościowymi. Zajmował się nim też Hotel Lambert, żywo pomagając Bułgarom w ich staraniach o niezależny egzarchat kościelny. Agenci Zamoyskiego zakładają w Bułgarii domy modlitwy i szkoły narodowe dla Bułgarów, polscy biskupi gromadzą pieniądze, by pomóc w bułgarskim ruchu narodowo-religijnym. Działa misja katolicka ks. Zmartwychwstańców. W szkole polskiej w Tulczy było w r. 1865 stu kilkudziesięciu Bułgarów na studiach. Starożytni dobrużcy uzyskują samorząd religijny i sądowiczy, zwolnienie od służby wojskowej dzięki działalności Orzechowskiego. Popierając ruch unicki wśród Bułgarów, biskup unicki w Galicji ks. Sembratowicz wysławił Rafała Popowa na bułgarskiego biskupa polowego.

Dyplomacja Czartoryskiego była wszędzie tam, gdzie wolność pod każdą postacią nieść było można, „gdzie bagiet na broń nałożyć było można. A gdy trzeba było działać memoriałami, działała nimi, wypierając niejednokrotnie wpływy rosyjskie czy austriackie, poparte potężnymi armiami.

Kaukaz i wyprawa Miłkowskiego
Działalność ożreza Hotelu Lambert nie zawsze znajdowała uznanie „Honoratki”. (Ironiczne określenie grupy Lelewela przeżywaną tak od imienia popularnej właścicielki kawiarni warszawskiej, w której gromadziły się żywioły demokratyczne). Mocne zastrzeżenia budziła akcja wojskowa Czartoryskiego, popierająca takie czy inne pretensje o charakterze dynastycznym. Przejawem tego jest choćby nieudany zamach Pasierbskiego na gen. Bema za organizowanie Legionu portugalskiego. Powstała wiosną 1832 Towarzystwo Demokratyczne uważało krew polską za własność narodową, którą jedynie dla celów polskich należało przelewać. Próby więc tworzenia sił polskich na Wschodzie, jak np. misja gen. Dembińskiego w r. 1833 w Egipcie, nie znajdowały poparcia ze strony czynników demokratycznych. Inaczej jednak zapatrywano się na wszelkie akcje wojskowe współdziałające z ruchami wyzwoleniczymi ludów ciemionych pod berem carskim. Były to walki wolnościowe, walki, które mogły dać niepodległość.

Stąd wielkie zainteresowania narodami bałkańskimi, wśród których działalność Hotelu Lambert wytwarza żywy strumień dążeń narodowościowych. Stąd też wielkie po-

parcie walk wyzwoleniczych ludów kaukaskich. Z nad Złotego Rogu, gdzie szeroka działalność polityczną prowadziło wielu Polaków, pracujących w służbie sułtańskiej, wyjeżdżały wyprawy polskie na Kaukaz. Popierała je mocno Anglia, która w oparciu o Kaukaz widziała się mocno zagrożoną w drodze do Indii. Popierała je Turcja. Po powstaniu listopadowym poparcie z polskiej strony tych ruchów szczególne miało znaczenie. Tędy uciekali z armii rosyjskiej oficerowie i żołnierze polscy, znajdując u górali kaukaskich opiekę i ratunek.

Pierwszy w r. 1844 Ludwik Zwierkowski udaje się do kraju Szopangów, co w rezultacie daje umowę Czajkowskiego z księciem Ubichów o nowej wyprawie polskiej na Kaukaz. Jedzie wkrótce do Czartoryskiego K. Gordon, by radą służyć księciu Ubichów w jego walkach z Rosją.

Równocześnie Iliniski działa wśród Zaporozców Mazepę koło Tulczy. Uzyskuje wzajemian za przywileje religijne obietnicę 1000 ochotników na wypadek powstania polskiego. Nie były to tylko dowody braterstwa ludów w walce z niewolnictwem carskim. Było to równocześnie tworzenie i ułatwianie bezpośredniej drogi dla emisariuszy.

Przygotowania te przyniosły nowe nadzieje całej emigracji polskiej w wojnie krymskiej. Czajkowski tworzy swoje oddziały kozackie, dociera do Bukaresztu, chce przejść Seret i Prut, by wywołać powstanie. Pod Sebastopolem Iliniski zdobywa nieustraszoną odwagę szlify generalskie. A kiedy przy oblężeniu Sebastopola Anglicy ponieśli ciężkie straty, a Turacja chętna była polskiej wyprawie na Besarabię, Zamoyski tworzy w r. 1855 dywizję polską w służbie angielskiej. W rok później odbył się przegląd polskich sił, których częścią największą tworzyli żołnierze, sławą okryci pod Wawrem, Iganiami, Wolą. Niestety, nowe marzenia zniszczyły pertraktacje pokojowe. I znowu żołnierze rozpoczęli tułaczkę, a na konferencję pokojową zostają tylko argumenty, mniej czy więcej szczerze popierane przez Napoleona III, piękne słowa o nieszczęśliwej Polsce i... przyjęcie stanu faktycznego. Palmerston kilkakrotnie korzystający z usług gen. Chrzanowskiego w reorganizacji armii sułtańskiej, w gotowaniu wojny z Rosją wycofuje się ze sprawy polskiej. Parlament angielski, wspaniały i godny zawsze parlament angielski, potępił jego stanowisko, potępił rezultaty kongresu paryskiego w sprawie Polski jako „upokarzające i obraźliwe dla Anglii”.

Po wojnie krymskiej wraca znowu sprawa kaukaska, w której Hotel Lambert upatrywał

największe możliwości dla sprawy polskiej, tak jak demokraci widzieli największe perspektywy w ruchach na Bałkanach. Idą więc jeszcze wyprawy do kraju Czerkiesów Teofila Lapinskiego, i Polacy walcą w dzikich niedostępnych górach do 1859 r. zdobywając sobie wielkie uznanie za odwagę wśród tamtejszych ludów. W r. 1861 Jordan opracowuje plany nowego Legionu polskiego, który miał ruszyć na Kaukaz. A tymczasem demokraci gromadzili się w Mołdawii, zamysłali tworzyć Legion na Wołoszczyźnie, zakładali czytelnice, komitety, brali czynny udział w odradzaniu się narodów bałkańskich. Na granicy Pokucia i Mołdawii osiada Miłkowski, przygotowujący akcję powstańczą, jemu też Rząd Narodowy w Warszawie w r. 1863 powierza kierownictwo spraw wschodnich. Miłkowski przybywa z Konstantynopola i organizuje przy pomocy emigrantów polskich, a szczególnie Sokulskiego, wyprawę zbrojną na Podole. Tworzono ją na terenie Tulczy w Dobruży. Miłkowski wydaje odezwę do Rumunów, by nie bronili ochotnikom polskim przejścia na teren powstania w Polsce, pisząc: „Jakiż trybunał potępiłby syna za to, że ten przechodzi przez pole sąsiada, spiesząc na ratunek matki, którą smaga mordera”. Doszło jednak do utarczki z Rumunami, do złożenia broni za obietnicę pozwolenia przedostania się do Polski. Ks. Cuza działał pod naciskiem Rosji. Część ochotników przedostaje się na teren powstania, otrzymując nazwę „turkosów”, ale cała akcja organizowana w porozumieniu z rewolucjonistami włoskimi i węgierskimi, działającymi na terenie Rumunii z ramienia Mazziniego i Garibaldiego po zawarciu traktatu włosko-polskiego i węgiersko-polskiego na wiosnę 1864 r., została zlikwidowana przez Cuzę, ulegającego naciskowi austriackiemu i rosyjskiemu.

Tymczasem Jordan z W. Czartoryskim organizują z jednym z rewolucjonistów rosyjskich nową wyprawę na Kaukaz w r. 1863. Staje na jej czele Klemens Przewłocki. Wyrusza ona na statku pod angielską flagą z kilkoma działami, walczą z oddziałami rosyjskimi w bardzo ciężkich warunkach. Rozpoczyna się jednak gromadna emigracja Czerkiesów do Turcji i Persji, ucieczka z palonych i niszczonej ziemi — przeprawa się i wyprawa polska na łódkach do Konstantynopola.

Powstanie styczniowe rzuca na teren bałkański, na teren Wschodu nową ilość ludzi, niosących postęp i kulturę. Niedawni bojownicy budują linie kolejowe na Bałkanach, drogi i mosty, linie telefoniczne i telegraficzne, tak jak wojskowi organizują armie, budują forty w Warnie i Ruszczuku. K. Brzozowski mieszka pod Bagdadem, tworzy wzorową fermę,

opracowuje plany oczyszczenia Tygrysu, projekty żeglugi na Eufracie. Polscy inżynierowie pracują nad mapami Bałkanów, Kurdystanu, Syrii.

„Przez lud do Polski, przez Polskę do ludzkości”

Powstanie styczniowe wywołało pierwsze oznaki zbliżającego się pozytywizmu, który większość społeczeństwa polskiego w kraju skieruje ku pracy organicznej. Już konserwatyści krakowscy potępiają powstanie styczniowe, jako niepotrzebny przelew krwi. Zwalczają konspirację. Przywódca ich, Paweł Popiel, trąbił zdecydowanie na odwrót w dotychczasowych metodach i dążnościach do niepodległości. Postać wprowadzić w lasy swoich dwóch synów, ale nadchodzi okres który inauguruje Kalinka jako szkołę krakowską książką „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta”, publikowaną równolegle z „Teką Stanczyka”, w r. 1868, która też da nazwę konserwatystom galicyjskim. Upadek Francji, rok 1870, rzuca podstawy polityki trójlojalistycznej i przerzuca cały wysiłek przygotowywania walki zbrojnej o niepodległość na polski postęp. Głosi też on niezmiennicę, że: „czasowe zaprzestanie walki jest przymusowym zawieszeniem broni, że jedynie przez powstanie ludowe byt niepodległej i nierozdzielnej Polski, Rusi i Litwy odzyskać możemy — że wszyscy Polacy, wszyscy obywatele kraju używać powinni bezwarunkowej wolności sumienia, równości praw politycznych i cywilnych, wreszcie, że na drodze do wywalczenia niepodległości kraj nie z emigracji rządzonej być powinien”.

Z niezwykłą siłą demokracja przystępuje w kraju do prac nad uświadamianiem mas polskich. Tradycja Lelewela i Mickiewicza, tradycja reform społecznych w duchu szeroko ujętych swobód obywatelskich i reform politycznych, tradycja Staszica i Kołłątaja, Towarzystwa Demokratycznego i Libelta — staje się sztandarem niepodległej myśli polskiej, sztandarem, uwieńczonym bohaterskimi udziałami w walkach w kraju i we wszystkich ruchach wolnościowych Europy i Ameryki. Wbrew konserwatystom, wbrew pozytywistom i wszelkiego autoramentu lojalistom pada hasło „Przez lud do Polski i przez Polskę do ludzkości”.

W tej myśli przewodniej polskich ruchów postępowych, tkwi głęboko zakorzenione w charakterze polskim zamiłowanie wolności. W czasach, gdy jeszcze w Stanach Zjednoczonych padały argumenty filozofów za utrzymaniem niewolnictwa, kiedy udowodniano w prawnictwie doskonałość tortur — polskie powstania od Kościuszki po czasy ostatnie walczyły z przemocą w imię najpiękniejszych hasł: ogólnoludzkości.

Demokracja doskonale rozumie potrzebę uświadamiania mas, które w ruchu dynamizmu rewolucyjnego przynieść muszą niepodległość. Trzeba tylko zatrzeć niezrozumienie chłopów dla celów narodowych, które krwawą pozogą rzezi galicyjskiej trwało w pamięci, które brakiem szerszego interesowania znacząco powstanie listopadowe (ująć to zagadnienie przed wojną Leon Kruczkowski w żywo dyskutowanym „Kordianie i chanie”).

Towarzystwo Demokratyczne odkrywa ogromny rezerwu dynamizmu polskiego:

„Dla odzyskania niepodległego bytu Polska ma w łonie własnym olbrzymie siły, których dotąd żaden głos sumienny i szczerzy nie wywołał jeszcze. Nietknięta to prawie, równie wewnętrznie jak i zewnętrznie nieprzyjaciółom straszna potęga. Nią Polska powstanie”.

Pierwszy w Poznańskim ruch 1846 i 1848 zbliżył masy chłopskie do idei narodowej, politycznej. Przychodzi uwłaszczenie Rządu Narodowego powstania styczniowego. W ogrom wysiłku polskiego postępu, polskiej demokracji wpręga się coraz w szerszej mierze masowy ruch społeczny. Tworzy się Towarzystwo Narodowo-Demokratyczne Smolki we Lwowie, powstają „Gwiazdy” rzemieślnicze z własnymi czasopismami, ukazuje się Supińskiego „Szkoła polskiego gospodarstwa społecznego”, na emigracji „Granica” w Genewie upatruje przyszłość Polski w nawigacji do starodawnych urzędów gminnych, teorie przewijające się zarówno u Szajnoch, jak i Lelewela („gminowładztwo”), Postęp wysuwa nowe idee, szukając rozwiązania stosunków polsko-ruskich. Przedpowstaniowy Komitet Centralny mówi o samookreśleniu się politycznym narodów, o federacji.

Postęp szuka i popiera wszędzie akcje rewolucyjne, które mogłyby dać rewolucję powszechną i niepodległość. W ruchu komuny paryskiej biorą udział Jarosław Dąbrowski, którego postać przypominał Polsce Adolf Nowaczyński w „Dyktatorze Paryża”, i Walery Wróblewski. Niepodległościowcy polscy zajmują całą gamę społecznego i politycznego zabarwienia w drodze do wyzwolenia.

W zarnach porywów i niewoli tworzy się niepodległa myśl polska, ta która do pierwszych walk w r. 1914 doprowadzi. Myśl opiera się na najszerszych masach uwłaszczonych chłopów, powstającej warstwy robotniczej i postępowej, demokratycznej inteligencji — do czego wrócimy w następnym artykule.

Cytaty i dane czerpiałem z następujących książek: Askenazy Szymon: „Uwagi”, Warszawa, 1924; Benis Adam: „Une Mission militaire polonaise en Egypte” Kair 1938; Choloniewski: „Duch dziejów Polski”, Palestyna, b. r. Garnier-Pagès: „Histoire de la Révolution de 1848” Paryż, 1866; Feldman Wilhelm: „Dzieje polskiej myśli politycznej”, Warszawa, 1933; Lewak Adam: „Dzieje emigracji polskiej w Turcji”, Warszawa, 1935; „The Polish Spirit of Freedom”, Londyn, 1942.

Z MYŚLI MAZZINIEGO

Chcę, by moja ojczyzna dała impuls moralny do wytworzenia się takiego stanu rzeczy, który byłby odmienny od usystematyzowanej anarchii, w jakiej dziś miotamy się, nihy nagalwanizowane trupy, do stanu rzeczy, któryby chronił i ustanawiał życie w Bogu, gdziekolwiekby ono wybuchało w swych spontanicznych przejawach, któryby podzielił Europę na wielkie i zjednoczone narody, zgodnie z ich naturalnymi pokrewieństwami...

Spoglądam wstecz na historię mej ojczyzny i widzę, że kiedykolwiek Włochy żyły życiem własnym i własną myślą, ich życie było życiem wszystkich, a ich myślą zjednoczonej ludzkości.

Wy wychodzicie z założen teorii interesu, ja z założen teorii zasad, bez zasad bowiem trwałe interesy są niemożliwe. Wy najwidoczniej jesteście Niemcami jedynie w czysto materialnym, czysto lokalnym sensie tej nazwy. Ja jestem Włochem, ale jednocześnie jestem Europejczykiem. Kocham swoją ojczyznę, bo wierzę w pojęcie ojczyzny. Wierzę w wolność. Włoch, bo wierzę w pojęcie wolności. Chcę praw dla Włochów, bo wierzę w prawa dla wszystkich. Narodowość jest w mych oczach rzeczą świętą. Widzę w niej narzędzie pracy ku powszechnemu dobru, ku postępowi dla wszystkich. Położenie geograficzne, tradycje historyczne, język, zdolności specyficzne — wszystko to jest w mych oczach zewnętrznymi oznakami narodowości, ale misja jaką każda narodowość spełnia, lub do której spełnienia jest powołana, jest jej chrztem i prawem do życia. Naród musi zajmować wobec ludzkości takie stanowisko, jakie rodzina zajmuje, lub bynajmniej zajmować, wobec ojczyzny. Jeżeli jaki naród pracuje dla złego, jeśli uciska inne, jeśli występuje jako misjonarz niesprawiedliwości w imię doczesnych interesów, traci prawo do istnienia jako naród — koje sobie własny grób.

...Myślicie, że możecie stanąć ponad tymi skromnymi normami moralności politycznej. Powiadać Niemcom: „Wenecja nie jest wasza. Przez swą narodowość, język, położenie geograficzne, związki, wreszcie przez wolę swych mieszkańców Wenecja jest włoska. Panowanie austriackie nad Wenecją opiera się tyle tylko na sile bagietów i na katkach. Nie mniej jednak, realizacja prawa, którego uznania zadacie, mogłaby się pewnego dnia okazać dla was niebezpieczną. A więc zaprzeczajcie go! Popierajcie tyranię! Podeprcie wolność!” A ja wam mówię: Najlepszym zabezpieczeniem przed możliwością zagrożenia ze strony Włoch będzie dla was miłość i przymierze wdzięcznego ludu włoskiego. Wy wolicie zawierzyć armotom. Czworoboku*). Tak więc nie ma widać podstaw do porozumienia między nami. Między waszym poglądem a moim otwiera się przepaść, która oddziela prawo od siły, odwieczne prawo od chwilowego manewru, ucisk od wolności.

Wyobrażacie sobie, że w ten sposób pomagacie waszej ojczyźnie niemieckiej. Nie panowie, nikt nie może uczynić nic dobrego dla swojej ojczyzny, żądając by sama się pohaniżała. Istnieje na świecie prawo odpłaty, prawo silniejsze niż wszelkie sofizmy materialistycznego samolubstwa, prawo silniejsze od najsilniejszej forticy, jaką człowiek potrafi zbudować. To prawo mówi: „Niesprawiedliwość nie będzie panowała wiecznie. Ucisł to samobójstwo”. Działanie tego prawa możecie odnaleźć w całej historii. Jego działanie możecie odnaleźć w naszych czasach w obecnej sytuacji Austrii, w nieopanowanym procesie rozkładu, toczącym jej imperium, w tym wołaniu narodów, które myślała zdusić w sofizmatach i krwi męczenników, ale które, czy chce czy nie chce wdziera się dziś znów chórem z głębi serc dziesięciu różnych ludów.

...Uważałem za słuszne powtórzyć te słowa Niemcom w interesie wspólnej sprawy... Nad Europą zawisł kryzys. Jego wynikiem będzie albo niewola albo wolność dla świata na wiele następnych pokoleń. Każdy lud, każda jednostka ma prawo i obowiązek głośno wołać do swych braci: „Strzeżcie się! Przyszłość czas, by wybierać — logicznie, śmiało — między dobrem i złem, między sprawiedliwością i niesprawiedliwością, między wolnością dla ludów a rosyjskim, francuskim, austriackim imperializmem. Ci, którzy wahają się między tymi alternatywami zostaną między nimi zmiażdżeni”.

*) Czworobok twierdzi w Lombardii, na którym opierało się panowanie austriackie we Włoszech.

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

CELE PRZEBUDOWY GOSPODARCZEJ

Oddzieleni liniami frontów, z trudem tylko orientujemy się w tym, co się dzieje w Kraju. Mgliście tylko uzmysławiamy sobie narastanie problemów gospodarczych i społecznych, rozciągających się na całość, która nie zachęca do optymizmu. Obserwacje myśli gospodarczej Polski na uchodźstwie, odzwierciedlanej w głosach publicznych, pesymizm tylko pogłębić może. Żyjemy kategoriami sprzed wojny 1939 roku. Ciągłe niedożycie usługujemy zamazane ropiejące rany na ciele naszego ustroju gospodarczego, podeprzeć, wyprostować, poprawić trochę — oto maksymalne cele. Być może, że gdzieś, w ciszy, wypracowuje się plan gruntownej przebudowy gospodarczej, ale publicznie ciągle myśli się kategoriami półśrodków, które może wyśtarczyć na pierwszych parę lat. Nie mogą one dać impetu dla prac na pokolenia. Półśrodki w rezultacie doprowadzić mogą do gorzkiego zmarnowania cennych lat pokój. Kłęską naszą jest niewowoczesność. Czepiamy się ciągle elementów, istniejących w przeszłości. Myślimy o nich jako o cechach stałych i pragniemy przekazać je przyszłości. Taką myślą jest przekonanie o rolniczym ustroju naszego kraju. Stąd jeżeli wyciąga się wniosek, to tylko ten, że Polska Wiosna będzie w dalszym ciągu dominującym typem osiedla, że kultura wiejska — to przyszła kultura naszego narodu.

Oto, co pisze jeden z eksponentów tej myśli:

„...wszystkie dawne przemysłowo-bankierskie cechy organizacyjne w produkcji fabrycznej, jak i styl życia proletariacko-robotniczy w osiedlach fabrycznych ostatniego wieku, przestają zapewne być wzorem. Inne osiedla i inny tryb życia, nawet przemysłowej ludności, zapowiadają się tam, gdzie dotychczasowa organizacja jeszcze się nie ugruntowała.

Jeżeli przeto przyjmujemy, że kraje z utrzymaną dotychczas znaczną przewagą ludności rolniczej z podobną przewagą długo pozostały — mimo postępu uprzemysłowienia — i przyjmujemy także, że naturalną cechą życia wszystkich narodów będzie coraz bardziej masowe przeżywanie zdarzeń życia zbiorowego i że do tego powinna być dostosowana ogólna organizacja życia, nawet społeczności rolniczych — to zgodzimy się łatwo, że należy przewidywać w rolniczych krajach Europy wytworzenie się nowej, różnej od dotychczasowych, kultury wiejskiej.

I ta właśnie nowa treść kulturalna, grupie narodów wspólna, winna stanowić twórczą, aktywną więź nowego związku państw obok więzi konserwatywnej, wynikającej z potrzeby wspólnej obrony“.

Czy jesteśmy państwem rolniczym?

Jak więc widzimy, program bardzo kompletny. Kontynuacja wiejskich form życia zbiorowego i wiejskich form produkcji. Na tle gospodarki rolnej wspólna organizacja państw rolniczych w jedną całość dla obrony swego istnienia.

Musimy przyjąć ramy przytoczonych rozważań. Sprawa ustroju gospodarczego Polski została związana ze sprawą organizacji życia międzynarodowego i ze sprawą przyszłości kultury polskiej. Ta ostatnia jest kluczowa, albowiem na niej opiera się nie tylko przyszła koncepcja życia polskiego, ale i państw sąsiadujących. Jakkolwiek autor nie wyraża się zbyt jasno, to zdaje się, że według niego stoimy wobec problemu, kto będzie kontynuatorem i spadkobiercą kultury polskiej, kto ją będzie rozwijał, kto jej dostarczy nowych idei. Autor odpowiada, że wieś.

Nie bardzo jest jasne, jak w tej nowej kulturze odbywać się ma „masowe przeżywanie zdarzeń życia zbiorowego“, na które autor tak wielki kładzie nacisk. Przy zachowaniu wsi jako głównej formy osiedli ludzkich to przeżywanie będzie raczej utrudnione. Skąd autor czerpie pewność, że dotychczasowe formy gospodarcze stracą znaczenie? Praktyka wskazuje, że zdobywcze okresu liberalno-kapitalistycznego, zwłaszcza jeżeli idzie o organizację produkcji, są zachowywane. Stanowiące przeciwieństwo wiejskiego bytowania ogromne zakłady fabryczne cechują także ustroje gospodarcze, z których inicjatywa prywatna została wyrugowana. Weźmy np. ogromne kombinaty, które zapoczątkowane w Związku Sowieckim, znalazły znakomite warunki rozwoju i stanowią zasadniczą formę organizacji przemysłu w społeczeństwach, które dotychczas go nie posiadały. Niewiele wiemy o tym, jak wygląda organizacja przemysłu wojennego Australii czy Południowej Afryki. Wiadomo, że w niektórych dominacjach Imperium Brytyjskiego powstały ostatnio ogromne kombinaty stalowe, nie ustępujące organizacjom sowieckim. Czy warunki polityczne pozwolą nam, Polakom, myśleć wyłącznie o tym, by pozostać przy najprzejrzystej dla nas formach bytowania, nawiązywać do już istniejących wartości reprezentowanych przez wieś polską? Czy też konieczność nie nakazuje nam porzucenie dotychczasowych linii rozwojowych, by stworzyć warunki produkcji gospodarczej, wymaganej przez nasze cele polityczne, przez konieczności państwowe?

By odpowiedzieć na to pytanie musimy stwierdzić, czy jesteśmy państwem przeważająco rolniczym. Wedle danych z r. 1931 lud-

ność wiejska wynosiła 27,7%, ludność wiejska 72,3%. Rozbicie na zawody przedstawia się nieco inaczej. W rolnictwie pracuje 52,3%, w przemyśle i górnictwie 24,8%, w handlu 6,9% transportie 4,3%, a reszta w szkolnictwie, użyteczności publicznej, dziedzinie sanitarnej i jako służba domowa. Z tych zestawień wynika, że w każdym razie bezspornie, że znaczna większość ludności polskiej mieszka na wsi, a więcej niż połowa żyje z pracy na roli.

Tych jednak kryteriów nie można uznać za decydujące. Nie mamy dokładnych danych co do udziału rolnictwa w dochodzie narodowym. Gros dochodu państwowego, bo 70%—80%, płynie z przemysłu i handlu, a zatem z zawodów, które stanowią wybitną mniejszość zarówno co do ilości ludności, jak też co do typu osiedlenia.

Z tego punktu widzenia Polska nie jest krajem rolniczym. Wysiłek ekonomiczny nie jest jedyną formą pracy dla państwa, ale gdy przedstawiamy to zagadnienie z gospodarczego punktu widzenia, tylko takie myśli muszą się nasunąć. Istnieje dysproporcja między ekonomiczną wartością wsi i miasta dla państwa.

Podajemy jednak do tego zagadnienia z punktu widzenia poprawy bytu wiejskiego człowieka. Wieś polska jest przeludniona. Nie ma dość roli, ażeby chłop polski wyposażyć w zdolne do samodzielnego bytu gospodarczego warsztaty rolne. Wedle niektórych obliczeń w Polsce na 2 ha uprawnej ziemi żyło około 6 osób. Tymczasem maksymalna cyfra, która da się pogodzić z jako tako racjonalnym gospodarstwem rolnym, jest 6 osób na 10 ha. Nawet przy zużyciu całego posiadanej t. zw. zapasu ziemi, który wynosi najwyżej 12%, nawet licząc się z tym, że po wyczerpaniu w granicach Rzeczypospolitej Prus Wschodnich otworzą się duże możliwości kolonizacyjne, nie będzie można stworzyć dla całej naszej ludności znośnych warunków bytu. Ilość bezrobotnych na wsi jest bowiem zbyt wielka. A przecież dysponujemy dużym, jak na stosunki europejskie, przyrostem naturalnym, i to przeważnie ludności wiejskiej.

O uprzemysłowieniu Polski

Zasadniczym zatem problemem, który w najbliższej przyszłości rozwiązać będziemy musieli, będzie obniżenie ilości ludności mieszkającej na wsi i przerzucenie nadmiaru do miast, do przemysłu i innych zawodów z przemysłem związanych. Uzasadniają to i obserwacje na temat populacji wsi w związku z przebudową systemu rolnego w Poznańskim, a więc tam, gdzie reforma rolna, zwłaszcza w związku ze wzrastającym tam w okresie powojennym uprzemysłowieniem, dawała rezultaty najlepsze. W Poznańskim ilości ludności wiejskiej, mimo powiększania się powierzchni gospodarstwa indywidualnego, malała. Znikał wiszący przy większym gospodarstwie rolnym proletariatus rolniczy, a na wsi pozostawali jedynie właściciele większych gospodarstw wiośnińskich, gospodarujący na swoim.

Jednym z zasadniczych, czekających nas zadań jest właściwe użycie siły ludzkiej. Jasne jest, że znakomity w jakości pracownik polski jest niewłaściwie wykorzystany. Pracuje ciężko, produkuje mało, nie dając państwu tego, co by wysiłek jego dać powinien. Gdyby kampania wrześniowa trwała dłużej, ludność wiejska byłaby w stanie dostarczać jedynie żołnierzom na front. Natomiast produkcja wojenna dla utrzymania tego żołnierza na froncie, która pochłania w obecnej wojnie znacznie wyższy odsetek siły ludzkiej niż w wojnach dotychczasowych, nie miałaby wykwalifikowanego robotnika. Zarówno z punktu widzenia wojny jak i pokoju 35 milionów obywateli Państwa Polskiego ma w dużym procencie żyć przydług.

Znakomity ekonomista statystyk Colin Clark w „The Economics of 1960“ przewiduje dla Polski za lat 17 najwyżej 18% pracowników, zatrudnionych w rolnictwie.

Jak teraz wyglądałyby zaczątki kultury wiejskiej, która ma stać się cechą charakterystyczną dla życia całego narodu. Kultura dworu należy już do przeszłości. A na całym niemal obszarze Rzeczypospolitej wieś przechodziła kryzys. Znamy doskonale życie wsi, które w niektórych stronach nie odbiegło zupełnie od ponurych opisów Żeromskiego z „Ludzi bezdomnych“, „Syzyfowych prac“ i

„Wiernej rzeki“. Trzeba zlikwidować styl życia błotnistego podwórka z malowniczą gnojówką, rozwalonym piotem i kościstym inwentarzem. Trzeba większość ludności polskiej przenieść spod wpływów nędzy polskiej wsi do miasta, trzeba jej stworzyć nowe warunki życia i nową przyszłość. Wtedy dopiero możemy mówić, że to co na wsi pozostanie, będzie mogło budować nową kulturę wiejską. Będzie to jednak kultura mniejszości. Większość zapomni jak wyglądała niedawna przeszłość, jak marnowali być wysiłek ich ojców i dziadów.

Cytowane na wstępie poglądy przeciwstawiające osiedlom robotniczo-proletariackim wsi, zawierają zasadniczy błąd. Przede wszystkim wieś jest to osiedle ludzi, żyjących przeważnie z roli. Osiedle, zamieszkałe przez robotników fabrycznych, nigdy nie będzie wsią. Może posiadać ogródki, park, dużo wolnej przestrzeni, ale to będzie osiedle robotnicze, a kultura, w jakiej ci ludzie żyć będą, nie będzie kulturą wiejską. Niestety, tak jest, że zasadnicze przemysły wymagają wielkiego skupienia ludzi. Nawet zewnętrznie osiedla tych ludzi wsi przypominają nie mogą. Inna rzecz, że nie powinniśmy dopuścić, by robotnicy żyli u nas tak, jak żyli w Europie i Ameryce w czasach dzikiego kapitalizmu. I tutaj trzeba planować, tak samo, jak i rozbudowę przemysłową.

Do nowej Europy wchodzimy z ideą polityczną, za którą stoją już pewne dokonania. Idzie tu o federację Środkowo-Europejską. Polska będzie w niej państwem największym, a zatem mającym największą odpowiedzialność. I pod kątem tej odpowiedzialności musimy planować naszą przebudowę. Jeżeli mamy stanowić oparcie i atrakcję dla innych narodów w tej części Europy, to musimy dać naszym sąsiadom to, czego oni nie posiadają. Przewodnictwo Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w obecnej wojnie wynika nie tylko z tego, że oba te kraje są szczerze demokratyczne, że najpełniej reprezentują w swojej polityce międzynarodowej kierunek, który w tej wojnie zwycięży, ale że posiadają wspaniały przemysł, który dostarcza wszystkim ich sprzymierzeńcom armat, okrętów, czołgów i samolotów. Ten sam przemysł weźmie wybitny udział w rekonstrukcji powojennej świata i przedłuży przewodnictwo, zdobyte w czasie wojny, na okres pokoju.

Nie możemy pozostać, jeżeli chcemy odegrać decydującą rolę w planowanej przez nas federacji, państwem rolniczym, to jest państwem słabym. Blok państw rolniczych nie ma sensu, albowiem byłaby to organizacja wegetująca tylko w czasie pokoju, w czasie wojny nie mogłaby ona wytworzyć broni dla własnej obrony.

Problem kultury

A teraz problem kultury. Jak już powiedzieliśmy, kultura dworu już nie istnieje. Wojny zniszczyły to, co ostało się po przewrotach, które przeżyła Polska w ciągu XIX w. Ale kultura szlachecka została w dużej mierze przejęta przez inteligencję polską. Kultura wiejska zawsze będzie miała w Polsce duże znaczenie. Nie można przekreślić tego, co dotychczas nadawało treść życiu umysłowemu Polski, tak samo jak nie można przekreślić wpływu nowych sił społecznych. Siły te muszą podjąć tę rolę, która przypadnie zawsze narodowi polskiemu, jako całości. Tradycja roli politycznej, kulturalnej musi stać się własnością nowych elementów, które historia powołuje do życia.

Przewrót gospodarczy wywołał przewrót w polskiej strukturze gospodarczej. Wzrosła klasa robotnicza i inteligencja pracująca w przemyśle. Tak samo, jak zmieni się obraz Polski widzianej z lotu ptaka przez to, że wzrosła liczba kominów fabrycznych, przewodów wysokiego napięcia, wygląd dróg i ich gęstość, wygląd naszych rzek, szachownice na polach zastąpią mniej lub więcej scalone farmy rolnicze, tak samo w miejsce biednej masy chłopów, stosunkowo nielicznej grupy robotników i pracowników umysłowych, uzupełnione nadbudową urzędniczą, wejdzie nowa hierarchia społeczna.

W ślad za tym zmieni się treść życia politycznego kraju. Powstaną realne interesy gospodarcze, stojące za programami politycznymi. Gospodarcze myślenie było obce przywódcom partii politycznych. Działalność ich obracała się w próżni. Bieda, panująca w Pol-

sce, zezwalała na przesuwanie potencjału politycznego z prawa na lewo i naodwrot bez rzeczywistego wpływu na realne interesy społeczeństwa. W życiu politycznym będzie położony nacisk na rolę i byt świata pracy.

Trudno wytworzyć sobie obraz nowego stylu życia. Prawdopodobnie istniejące już formy zostaną wzbogacone. Podniesienie jakości życia społecznej umożliwi dopływ do kierujących warstw społecznych w wyższym procencie synów chłopskich i robotniczych. Może wreszcie zostanie zrealizowane przedostawanie się do inteligencji synów włościańskich nie w warunkach Radka z „Syzyfowych prac“. Przerazające statystyki przedwojenne, które wskazywały na raptownie malejący procent dzieci z tych warstw w szkolnictwie średnim i wyższym, zmieniają się. Wzrost zamożności wsi, a z drugiej strony powiększenie się ludności miast udostępni, materialnie rzecz biorąc, szkolnictwo średnie i wyższe tym, którzy dotychczas na wykształcenie pozwolić sobie po prostu nie mogli. Jeżeli szkolnictwo średnie może być dostępne, z uwagi na liczbę szkół rozrzuconych mniej lub więcej równomiernie na całej przestrzeni kraju, to szkolnictwo wyższe będzie zawsze dość kosztowne, bez względu na wysokość opłat uniwersyteckich czy ilość stypendiów państwowych.

Problemy narodowościowe

Rzeczpospolita Polska będzie zawsze państwem, w którym obok poważnej większości polskiej będą żyły duże grupy narodowościowe. Stosunek tych grup do państwa i do naszego narodu jest rzeczą poważną i każdy polityk, który myśli realnie i serio, sprawę tę musi wziąć pod uwagę. Można sobie radzić w ten sposób, że obsadza się bezpiecznikami administrację ogólną i przy pomocy oddziałów NKWD czy Gestapo reguluje zagadnienia narodowościowe. Dla nas te metody są i wstrętne i nie stać nas na nie. Pod koniec XVII w. trwał jeszcze proces tworzenia się narodu Rzeczypospolitej, który składał się z kilku narodowości. Większość obszarów ówczesnego państwa polskiego nie była zamieszkała przez Polaków. Królewskie wrota w cerkwiach prawosławnych w Kijowie, senatorzy uciecy i dyssydenci w Senacie polskim, Konaszewicz Sahajdaczny, patriotyzm mieszczaństwa lwowskiego w czasie rebelii Chmielnickiego, jakkolwiek mieszczaństwo to nie było w większości polskie lub polskiego pochodzenia, oto elementy tego tworzącego się narodu. Proces ten został przerwany zaborami i wiele pozycji zostało straconych bodajże na zawsze. Przebudowa gospodarcza dostarczyła nam może historycznej szansy podjęcia tego procesu, a stworzenie nowego stylu życia przez działanie polskiego przemysłu na ludność rolniczą Kresów Wschodnich musi odegrać tę samą rolę, jaką odgrywała kultura Rzeczypospolitej szlacheckiej, kultura kraju wolnego w stosunku do wyzwalających się spod tyranii bizantyjskiej myśli i tatarskich stosunków ludności Kresów Wschodnich.

Przesunięcie sporego odłamu ludności wiejskiej do miast, zerwanie z dotychczasowym trybem życia, być może przeniesienie się w bardziej uprzemysłowione części kraju przy podniesieniu standardu życiowego zdobędzie dla nas masy naszych mniejszości narodowościowych. Przemysł, rozluźniając więzy społeczne, w jakich mniejszości żyją, stworzy wielki kocioł, w którym przepłatają się istotne wartości ludzkie. Przemysł, przeciwnie niż rolnictwo tworzy centra przyciągające elementy na pewnej przestrzeni. Powstaje szansa zdobycia na stałe dla polskiej idei państwowej tych wszystkich czynników, którym była ona obojętna.

Nowy styl życia

Poszukiwanie nowego stylu życia jest cechą charakterystyczną naszych czasów. Wojna z jej masami maszyn, śmiałym rozwijaniem problemów technicznych, proces ten przyspieszyła prawdopodobnie ogromnie. Powiedzmy sobie otwarcie, że ci, którzy wcześniej to poszukiwanie nowego stylu życia rozpoczęli, wytrzymali napór sił dziejowych i wypadków lepiej niż ci, którzy tkwili przy formach starych. Z każdego punktu widzenia, czy rozwiązania naszych trudności wewnętrznych, czy stworzenia warunków dla wykonania naszych zadań w świecie międzynarodowym, konieczności zmuszają nas do obrania nawet drogi, poniesienia nowych ofiar w myśl nowego ideału społecznego. W kampanii wrześniowej pożegnaliśmy się nie tylko z barwnym ułanem, ale bodajże pożegnaliśmy się z chatą wiejską, sromą krytą, z krzywą wijącą się błotnistą drożką, nad którą chylił się romantycznie wierzba. Pożegnaliśmy się z improwizacją ludzi, być może dobrej woli, ale nie znających się na rzeczy. Być może, że w przyszłości nie będą egzaltowane Angielki pisały o tęczach regionalizmu polskiego, ale zato prospekty i cenniki przemysłu lekkiego i ciężkiego będą stałym szczegółem biur handlowych zagranicą, a notowania cen stali w Polsce będą posiadały chociaż małe, ale stałe znaczenie na rynku światowym. Wtedy też zarówno chłop jak i robotnik polski weźmie udział w tworzeniu kultury polskiej, w korzystaniu z jej starych wartości, z jej tradycyjnej wolności obywatelskiej.

LECH PIWOWAR

APOSTROFA

Kiedy bębniło serce kompanii,
i nóg parada o bruk grzmiała,
my, nieprawdziwi, oszukani,
nie dzień szukaliśmy, lecz dzień.

Kiedy konało serce kompanii
i wróg z obłoków ogniem bił w nas,
nam, w węzowiska dróg wplątany,
nie wojna rosła, lecz ojczyzna.

Ojczyzna, która zewsząd idzie,
drogą fabryczną, drogą rolną —
i śmierć tu mała, wielkie życie,
i ponad każde niebo — wolność!

Gdy ocknie się serce kompanii,
do progów swych i do swych ścian
powróci i tam znajdzie na nich? —
Ojczyzno miła, żono ukochana!
30.X.1939.

ZDZISŁAW BRONCEL

TRZECIA BITWA POLSKA

„Z wyjątkiem Polaków...”

Gdy G. Penrose Gibson, jeden z najpopularniejszych lotników angielskich, bohater nalotu na tamę w Mohne, otrzymywał z rąk króla Jerzego VI — „Victoria Cross”, miarę zasług młodego pilota w następujący sposób wyrażono na łamach „Daily Express”: „Można powiedzieć o Gibsonie, iż był w wojnie z Niemcami przed wszystkimi innymi, z wyjątkiem Polaków”.

Tak więc w świadomości przeciętnego Anglika, do którego odwołuje się bulwarowy dziennik, lotnictwo polskie zajmuje pierwsze miejsce. Głoszące to młode nasza dumę narodową, przyjmujemy to z zadowoleniem, nie zdając sobie dokładnie sprawy, jaki był istotny nasz wojenny wkład, w chwili gdy w bitwie nad Anglią rozstrzygał się los wysp brytyjskich. Pod wpływem urazu, jaki pozostawiła kampania wrześniowa, długo nie odważyliśmy się przypuszczać, by udział dywizjonów „303” i „302” w walkach o Londyn mógł być czymś innym, jak samym tylko zaznaczeniem obecności Polaków. Później, kiedy sława Dywizjonu Kościuszkowskiego obiegła cały świat, tworząc wizję powietrznej Samosiery, kiedy dołączył się do niej rozgłos dywizjonów myśliwskich „302” i „303”, kiedy obok myśliwców z „Ziemi Krakowskiej” stanęły bombowce z „Ziemi Mazowieckiej”, wchłonęliśmy piękną legendę o polskim lotnictwie. Ale była to nadal tylko pamięć o bojowej furii i awanturzystości myśliwskich pilotów, połączona z nieznaną wysiłku mechaników naszej eskadry, pamięć o cmentarzu w Newarku, o kwiecie młodzieży, ginącej w niebie nad Anglią, połączona z brakiem wiadomości o stosunku strat do rezultatów, o porównaniu strat polskich i angielskich.

Jak wobec września przełożyliśmy w pierwszej chwili nimb smutnego bohaterstwa nad wykazywanie niemieckich uszczerbków wojskowych i politycznych następstw polskiego oporu, tak i wobec sukcesów polskich myśliwców wyrażaliśmy nasz stosunek bajeczką o lotniku — niszczycielu, który gotów zginąć samobójczo, byle ucieścić oczy widokiem płonącego Messerschmida. Niewątpliwie, dzięki nam samym, a przy skwapliwej pomocy opinii francuskiej, przyjęło się przekonanie o szaleńczym ryzyku Polaków, potępianym przez angielski sposób myślenia. Pilot polski stał się dla wielu synonimem straconca.

To też pożyteczną i potrzebną będzie książka Arkadego Fiedlera o Dywizjonie 303^{*)}, z jednej strony usuwająca fałszywe legendy, z drugiej zaś w oparciu o oficjalną statystykę uwydatniająca rolę, jaką spełnił w dramatycznej Battle of Britain. Rola polska polegała nie tylko na obecności, na dowodzie, iż po drugiej przegranej podejmiemy walkę po raz trzeci. Mimo szczupłego stanu liczebnego lotnictwo polskie spełniło poważne zadanie i wśród najkrytyczniejszego okresu Battle of Britain były dni, kiedy jego akcja stawała się tak decydującą, iż z pełną uciążliwością wolno nam ten udział określić jako trzecią bitwę polską. O tej trzeciej bitwie polskiej Anglik napisze: **).

„Męstwo Polaków jest ogromne, ich sprawność graniczy z wyczynami nadludzkimi. Polacy oddali wielkie usługi. Wciąż je oddają i oddawać będą, dopóki zwycięstwo, tryumfalne i zupełne, nie opromieni ich skrzydeł. Zaczynamy poznawać Polaków...”

O ostatni samolot...

Poprzez zbiór krótkich felietonów Fiedlera, szkicujących poszczególne sylwetki myśliwców, ich powietrzne pojedynki i bitwy, zaczynamy i my poznawać tu, w oddaleniu, olśniewającą prawdę faktów, imponującą drogę, jaką przebyło — od pustych lotnisk, gdzie kandydaci na pilotów rozdawali piki i maczugi członkom Home Guard'u, aż do pierwszego miejsca w opromienionym sławą RAF-ie. Jeżeli, jak można sądzić po kampanii tuniskiej i sycylijskiej, po bombardowaniu centrów niemieckich, RAF wywiera decydujący wpływ na wojnę, nie jest bez znaczenia, że Polacy, dwukrotnie w ciągu roku pokonywali, zajęli pierwsze miejsce w tym pierwszym sukcesie Sprzymierzonych, jakim było załamanie niemieckiej inwazji na Wielką Brytanię.

Bitwa o Anglię rozpoczęła się 8 sierpnia 1940 r. i trwała pełne dwa miesiące. Krytyczna jej faza przypada na okres 15—27 września, kiedy Niemcy, licząc na wyczerpanie brytyjskiego lotnictwa, usiłowali zdeorganizować angielski ośrodek dyspozycyjny — Londyn. Skorzystał z zamieszania i rzucił do inwazji skoncentrowanych we Francji 200 dywizji. Wiemy już dziś, jak dalece Anglia była wówczas nieprzygotowana, jakiej trzeba było determinacji, by zapowiedzieć, że naród angielski będzie się bronił na nadbrzeżnych piaskach, na każdej drodze, w każdej ulicy. Gdyby zwycięstwo w powietrzu przypadło Niemcom, musiałyby się raczej sprawdzić druga część mowy Churchilla, przyrzekająca walkę poza morzami... Anglia pokonana ponad swą wyspą, nie była w stanie obronić się na wyspie.

Rachunek niemiecki był jasny. Luftwaffe zdawała sobie sprawę ze swej przewagi liczebnej. Oczekiwała strat, lecz liczyła, że będą im towarzyszyć podobne straty angielskie. Ta prostacka, arytmetyczna strategia dążyła do wywabienia do walki angielskiego lotnictwa myśliwskiego i opierała się na pewności, iż „ostatni samolot zwycięży” — jak zapowiadał Goering. Rachuba angielska starała się zaw-

szę mieć „ostatni” samolot w rezerwie, obalać kalkulację niemiecką przez nieprzymiowanie otwartej bitwy i stale zachowywać dyspozycyjną rezerwę lotnictwa, konieczną do powstrzymania niemieckich lądowań.

Konsekwencja tych decyzji była dramatyczna. Ograniczenie udziału myśliwców w walkach nad Londynem i brzegami Anglii pozostawiło angielskie miasta najsłabszej obrony. Heroizm tkwił w tym, że w imię bezpieczeństwa ojczyzny zrezygnowano z bezpieczeństwa jej obywateli. Zrezygnowano z ocalenia rzeczy drogiej sercu każdego Anglika, poświęcono katedrę św. Pawła i gmach Parlamentu, zabytkowe kościoły, wspaniałe muzea. Poświęcono gmachy szkolne, zaciśnię, szczęśliwe domki, byle ograniczyć do minimum straty lotnicze, byle ciągle mieć w pogotowiu nietkniętą rezerwę. Jeżeli się mówi o wielkości, wykazanej przez Anglię w owej najcięższej dla niej chwili, jest w tym hołd, składany angielskiej sile moralnej. Tylko w oparciu o nieugiętą moralę narodu można było powziąć to postanowienie. Było to rozwiązanie na miarę, jakiej nam zabrakło, gdy nie umielimy się wycofać bez bitwy z Pomorza, Wielkopolski i Śląska na możliwą do obsadzenia linię Wisły. Ale są to decyzje z tej kategorii, na które waży się tylko naród świadomy w pełni biegu wydarzeń i swojej w nich roli.

Przyjęcie podobnego systemu walki wyznaczało myśliwcom zadanie podstępnej niszczenia Luftwaffe w jej drodze powrotnej z wypraw bombowych, przy pełnym wykorzystaniu przewagi zaskoczenia. Troska o jak najmniejsze straty własne czyniła istotnym raczej jak najdłuższe wytrzymanie nalotów, niż próby masowego niszczenia przeciwnika. Samolot niemiecki miał być celem przede wszystkim dla artylerii przeciwlotniczej, służba Hurricane'a i Spitfire'a polegała na swoistej walce podjazdowej. Lotnictwo angielskie, nie mogąc zniszczyć niemieckich powietrznych armad, starało się je rozbić, zdeorganizować, nie dopuścić do doniosłych celów, słowem zamienić strategicznie uplanowany atak w chaotyczne bombardowanie. Bomby niemieckie, spadając przed Londynem, musiały spaść na wieś i miasteczka, ale przy ówczesnej słabości Anglii, była to szkoda, którą trzeba było ponieść.

Zgodnie z tą taktyką zmasowane eskadry myśliwskie nie atakowały równocześnie niemieckich wypraw. Do zatrzymania, do zamknięcia lotu, zbicia z kursu, zepchnięcia napastnika z wysokiego pułapu w sferę osiągalną dla pocisków z ziemi — wystarczało kilkanaście myśliwców. Pod jednym warunkiem. Pod warunkiem, że angielska jakość będzie górować nad niemiecką ilością. Pilot Hurricane'a musiał być artystą walki powietrznej, a siłę ognia i szybkości Messerschmida 110 równoważył szybkością i heroicznością swych decyzji. Takie wymagania stanęły przed lotnictwem Anglii i przed polskim dywizjonem „303”.

„303”

Lotnictwo polskie w Brytanii było improvizacją. Jesienią 1939 r. postanowiono reorganizować nasze dawne bombowce z Anglii, natomiast myśliwce i obsługi lotnisk skierować do Francji. Gdy po rozpaczliwych walkach, przeprowadzonych na niezdarnych i powolnych francuskich Monarch, piloci-myśliwcy znaleźli się w Anglii, mieli przed sobą zaledwie krótki okres czasu na poznanie języka angielskiego, niezbędnego przy angielskiej radiolokacji, przeszkolenie na nowych aparatach i wciągnięcie się w skomplikowany system pracy zbiorowej. Instruktorzy angielscy żywwili zrozumiały obawy, wywołane krótkością przyszkolenia, i podnosili się nawet głosy, że przez nadmiar kurtuazji powierza się Polakom tak ważną placówkę, jak obrona Londynu. Tym niemniej utworzono narazie dwa dywizjony myśliwskie: „303” i „302”. Pierwszy z nich patrolował okolice Londynu, drugi stacjonował w głębi wyspy i wszedł do walki pod koniec Battle of Britain. Reszta pilotów polskich rozproszyła się po dywizjonach angielskich.

W dniu 31 sierpnia dywizjon „303” pod kierownictwem swego angielskiego dowódcy wykonywał jeszcze lot szkolny, gdy nagle dosięgło go w powietrzu skierowanie do bitwy. Pierwszy dzień walk był dniem sukcesu. Od tam w ciągu pierwszego miesiąca dywizjon stracił 108 maszyn niemieckich na ogólną liczbę 964, zestrzelonych we wrześniu przez Royal Air Force. Następny w hierarchii zwycięstw dywizjon angielski ma już tylko 48 strącen. W ten sposób ilość samolotów, strąconych przez Dywizjon Kościuszkowski, stanowi 11% strat zadanych Niemcom, lecz, co jest jeszcze ważniejsze ze względu na sytuację, straty własne dywizjonu są o 2/3 niższe od przeciętnej strat angielskich. Okazuje się rychło, iż polscy rzekomi straconcy mają więcej zestrzeleń i mniej szkód niż jakakolwiek inna formacja lotnicza.

„Never, never...”

Dywizjon Kościuszkowski jest w pełni służby, gdy Niemcy wchodzi w drugą fazę ataku, skierowując główne uderzenie na lotniska obrony Londynu i wreszcie na sam Londyn. 7 września 1940 r. J. L. Garvin pisze w „Observer”:

„Najbliższych siedem dni może zadecydować o losach całej wojny. Nigdy nie było bar-

dziej krytycznego tygodnia w dziejach świata. Jeżeli chodzi o Niemców, to ich zagadnienie jest jasne: teraz albo nigdy...”

11 września — 60 ciężkich bombowców, w otoczeniu blisko setki Messerschmidtów, atakuje doki londyńskie i samo miasto. Jest to zaledwie wstęp do głównego uderzenia, które spada na Anglię w dwóch kolejnych szturmach w dniu 15 września. Przeszło 250 maszyn o łącznej sile 400.000 koni mechanicznych dążyło do centrum stolicy Imperium. Anglii broniły wtedy 24 dywizjony myśliwskie, wśród nich — 2 dywizjony polskie. Mógł z całą precyzją powiedzieć Churchill: „Never in the field of human conflict was so much owed by so many to so few”. Należeliśmy do tych „nie-licznych”.

Przewaga psychiczna.

Książka Fiedlera o dywizjonie 303 nie jest ani jego historią, ani lotniczym pamiętnikiem. Ten zbiór felietonów, zbliżonych nieraz do noweli, kreśli obraz życia wojennego dywizjonu, zbiera fakty z opowiadań poszczególnych pilotów i, co najważniejsze, opowiada obszernie o warunkach, w jakich odbywały się lotnicze pojedynki z Niemcami. Wzucie się w te sytuacje, zrozumienie przebiegu napowietrznych bitew, pozwala dotrzeć do sekretu polskiego pilota, do tej zagadkowej właściwości psychicznej, jaka naszego myśliwca wysunęła na czoło RAF'u.

Wyprawy niemieckie składały się zazwyczaj z Heinkli i Dornierów, lecących na średniej wysokości. Nad tym ruchomym taranem bombowców nosiła się górze, jak pancerz tarcz nad kohortą, eskorta Messerschmidtów. 11 września, w dniu kiedy niewątpliwie zasługa ocalenia Londynu przypada polskiemu dywizjonowi, „parasol” ochronny tworzyło 50 M. „109” i 40 M. „110”. Eskadra dywizjonu zaatakowała bez wahania tę flotę powietrzną, istne lecące gniazdo szerszeni, najeżone żądaniami karabinów maszynowych. 12 myśliwców polskich rzuciło się bez wahania przeciw siłom dwunastokrotnie przeważającym.

W pobliżu nie było innych myśliwców angielskich — zrezygnowanie z walki oznaczało dopuszczenie bombowców nad stolicę. W tej osobliwej wojnie, jaką jest wojna lotnicza, czynnik czasu, tak ważny w obliczeniach każdej bitwy, spada do minut, jeśli już nie do sekund. Londyn leży dostatecznie blisko Kanalu, a nowoczesny aparat leci dostatecznie szybko, by nie można było sobie pozwolić na oczekiwanie pomocy. To też 6 polskich myśliwców wzbija się w górę, by zaatakować 90 Messerschmidtów, a równocześnie 6 pozostałych spada, jak jastrzębie, na ciężkie cielska Dornierów, rozbija szyki, wznica popiołów, zatrzymuje, miesza i skłębia lecącą armadę. Gdy po kilku minutach zjawili się od czoła zaalarmowani Anglię, 17 maszyn niemieckich w ognistych korkociągach leciało na ziemię. Polacy stracili 2 lotników.

Sukces polski był wynikiem decyzji tak heroicznej, iż przerastała ona wszelkie niemieckie rachuby. Wyrwanie 17 maszyn spośród potężnej floty powietrznej atakiem jednej eskadry pozostanie wśród rekordów obecnej wojny. Nie przypuszczali Niemcy, iż mogą się znaleźć myśliwcy, którzy zaatakują bombowce, wchodząc pod idący z góry ostrzał myśliwskiej eskorty. Nie przypuszczali ani na chwilę, iż myśliwiec może rozporządzać taką precyzyjną akcją i strzałą, iż zespół bombowy zostanie rozbity, zanim eskorta przyjdzie mu z pomocą. Nie przypuszczali, że 6 samolotów rzuci się na pewną nieomal zgubę na dziesiątki potężnie uzbrojonych Messerschmidtów. Nie przypuszczali... w tym właśnie zawiera się element zwycięstwa.

Bohaterstwo lotnicze musi być szybkie. Jest to zagadnienie sekund, kwestia piorunujących reakcji psychicznych, w których nie ma czasu na wahanie, na grę sprzecznych instynktów, na przewyżczanie oporów. Gdy heroizm lotnika jest wyrozumowany i rodzi się z pokonania instynktu samozachowawczego, gdy jest świadomą ofiarnością, bywa zazwyczaj heroizmem smutnym: gubi swą ofiarę, gdyż w walce lotniczej nie staje czasu na rozgrywki psychiczne. Tajemnicą powodzeń polskiego myśliwca jest spontaniczność jego decyzji, sprawowanie wszystkich reakcji na widok niemieckiego samolotu do chęci natychmiastowej walki. I dzięki szczególnym warunkom bitwy powietrznej — ta pozornie nierozważna, nieostrożna reakcja, daje lotnikom przewagę i zwycięstwo: zanim przeciwnik wytworzy sobie stosunek do nieobliczalnego ataku Hurricane'a z dywizjonu „303”, już świetlista smuga pocisków przeszywa motor, drze stery, zabija strzelca, już polski aparat w gwałtownym wywrocie ucieka od rewanżu w zbawczą chmurę.

Strącenie 17 maszyn przez 12 aparatów w jednej walce jest rekordem bitwy o Anglię. Bardzo rychło polscy szaleńcy i ryzykanci okazali się w wyniku „najostrożniejsi”, gdy statystyka dowiodła, że mają przeciętną strat trzykrotnie niższą od Anglików.

Znakomitym przykładem, jak Polak pokonywał Niemca silniejszą wolą walki i natężeniem napięcia nerwowego, jest sytuacja, w której znalazł się młody sierżant z Dywizjonu „303”. Niemiecki aparat uciekał przed nim w stronę Kanalu, lecąc tuż nad ziemią. Podstępna nadzieja Niemca polegała na tym, iż Polak zaślepiony zawziętością i pościgiem, lecąc w

śląd za Niemcem, rozbije się o pierwsze lepsze drzewo, wpatrzoną w przeciwnika. W karabinach maszynowych Polaka zabrakło kul — sierżant skierował Spitfire'a wprost na niemiecki samolot, jak w samobójczym zamierze. W ostatniej chwili poderwał maszynę w górę i przeszedł tuż nad wrogiem. Niemiec natomiast nie wytrzymał nerwowo, — znając Polaków z legendy ich waleczności, był przekonany, że Spitfire dąży do zderzenia, — drgnęła mu ręka na drążku sterowym. Przydusił aparat, jak człowiek instynktownie schylający się przed kulą, — w ciągu sekundy już było po nim. Messerschmidt całą siłą rozpędu uderzył w ziemię i stanął w obłoku płomieni.

Konwenanse wojenne

Dla epika tej wojny, dla jej dramaturgia i liryka, Battle of Britain jest wielkim tematem. Walki w powietrzu, w których ułamki sekund decydują o życiu, o losach narodów i państw, o rozstrzygnięciu wojny! Ludzie ginący w ułamkach sekund, przenosząc bitwę z nad Anglii nad morze, nad Francję i znów nad Londyn i Tamizę! Człowiek, mózg w czasie drapieżnego ptaka, poruszający się z szybkością 1 kilometra na 5 sekund. Akrobacje, rzucające ciemną falę krwi na oczy, spadanie w otchłani, odbierające przytomność — noc, z której budzi się dopiero nad ziemią, lecąc ku niej w tragicznej niewiedzy. Wyłączenie świadomości, przekreślenie tego, co potocznie uważamy za ludzką psychikę, zdanie się na łaskę i niełaskę podświadomości, odruchów warunkowych i tajemniczej siły, którą niechętnie nazywamy instynktem życia, walki, lotu...

Z tej rozległej dziedziny Fiedler woliął stosunkowo niewiele. Wprawdzie opowiadania o polskich pojedynkach podniebnych łączą się z całością bitwy o Anglię, ale tylko rzadko dochodzi do głosu patos tych zmagani i potrafi przezwyciężyć reporterską anegdotę. Niewiele jest w książce takich obrazów, jak opis pierścienia Messerschmidtów, krążących w powietrzu, jak pierścien Saturna, jak opis tańca śmierci, wykonywanego przez niemiecki samolot, posłuszny śmiertelnym skurczom ręki pilota, która kurczowo zastępuje na mechanizmie sterów. Felietony o Dywizjonie „303” na ogół nie przekraczają granic żywo i potoczności podanej informacji. Objasniają nam dzielność i zasługi dywizjonu, nie mogą jednak wywołać jego zjawy przed naszymi oczyma. Pośród poszczególnych pilotów nie są zindywidualizowane, sekrety latającego człowieka pozostają nadal utajone. Pilot — bohater fiedlerowskich szkiców jest raczej tylko częścią myśliwskiego samolotu, najwyższej standardowym żołnierzem, pragnącym walczyć za Polskę i mającym zacerpnąć z Makuszyńskiego „słońce w oczach”.

Przy całej korzyści, odnoszonej z lektury tej książki, — ach, jakże mamy dosyć owych wyidealizowanych, naiwnych, pogodnych żołnierzyków. Zdaje się że dziś, gdy nawet ludność cywilna poznała groźny i wstrząsający realizm wojny, niedopuszczalne są literacko takie pomysły, jak hemarowski żołnierz, którego śmierć rozdarła minami, który konał walcząc o życie, a który potem bawi się ze św. Piotrem w przepustkowe korowody. I bodaj że nawet piękna legenda Obertyńskiej o Wojciechu Ziembie brzmi dziś fałszywie dla żołnierza, któremu życie na froncie wytrzebiło wszelką naiwność i czułość.

Przypuszczać można, że te nieporozumienia płyną z braku prawdy żołnierskiego przeżycia. Ponieważ starannie pilnujemy, by ani jeden z naszych doświadczonych i utalentowanych pisarzy nie był autentycznym korespondentem wojennym, będziemy zawsze zdani na relację z trzeciej ręki, bo już Fiedler sam musiał czerpać materiał z opowiadań pilotów. A tymczasem piloci, jak mówią sami, doznają po walce „black-out”-u pamięci, gubiąc treść i kolejność błyskawicznych reakcji, jakie przeżywali.

Pozostaje jeszcze jedna wielka część tematu, przez Fiedlera prawie niedotknięta: życie lotnika na ziemi. Życie równie niezwykle, bo zdarza się, że zapalony myśliwiec doznaje szczególnej psychozy: oto boi się ziemi, czuje się bezpieczny jedynie w powietrzu. Ponadto cokolwiek lotnik czyni na ziemi, towarzyszy temu nieustanny komentarz wojny, nieustanna glossa śmierci. Zwykły żołnierz jest na froncie, albo na tyłach — lotnik, pilot myśliwca, a zwłaszcza bombowca, może dzień spędzać w klubie, w kawiarni, na dancingu, by w nocy znaleźć się wśród świetlistych kul artylerii przeciwlotniczej. Tej odróżniającej cechy lotniczego życia, tak interesującej psychologicznie, tak pociągającej dla pisarza — Fiedler nie dotyka.

Może zresztą trudno mieć o to pretensję do autora. „Dywizjon 303” nie pretenduje do poezji czy dramatu, jest opowiadaniem popularnym, łatwym dla czytania dla każdego żołnierza. Tym bardziej powinien być rozpoznawczym.

Dywizjon „303”, a wraz z nim inne polskie formacje lotnicze, uciwiele oddają rasie anglosaskiej dług, jaki zaciągnęliśmy w latach 1919—1920, gdy amerykańscy ochotnicy-piloci pomogli nam ofiarnie w ówczesnej wojnie.

*) Arkady Fiedler: „Dywizjon 303”. Str. 159. Londyn, 1942. M. I. Kolin. Z rysunkami A. Horowicza.

**) G. Sanders: „Battle of Britain”.

WŁADZIMIERZ BRATKOWSKI

WOJNA A DOCHÓD SPOŁECZNY

Wojny współczesne są prowadzone przez całe społeczeństwa, a nie tylko przez armie na frontach, celem zniszczeń są również nie tylko armie i ich urzędnicy, ale także cały aparat przemysłowy krajów walczących. To zwykle mamy na myśli, mówiąc o wojnie totalnej. Kraje wojujące przypominają dziś obłożone twierdze, z tą różnicą, że nie zapasy odgrywa ją decydującą rolę w walce, lecz produkcja. Technika nowoczesna zmienia charakter samej walki i tak zwiększyła ilość i wartość sprzętu, wypadającego na pojedynczego kombatanta, że każda kampania wojenna jest tylko strategicznym wykorzystaniem uprzednio już wygranej kampanii produkcyjnej. O wyniku wojen decyduje dziś potencjał gospodarczy. Pewną miarą tej ewolucji może być ilość zatrudnionych w przemyśle w stosunku do zmobilizowanych żołnierzy. W końcu ubiegłej wojny obliczano, że dla uzbrojenia i zaopatrzenia jednego żołnierza trzeba zatrudnić trzech pracowników w produkcji wojennej. Dział cyfrę tę szacuje się na pięciu zatrudnionych w przemyśle na jednego żołnierza. Obliczenia te są prowizoryczne, a cyfry okazywały się w rzeczywistości prawdopodobnie wyższe.

Nie należy z tego wyciągać wniosku, że czynnikami decydującymi stał się pieniądź. Wojny prowadzi się rezerwami, ludzkimi i sprzętem, sprzęt produkuje się pracą i kwalifikacjami armii przemysłowej oraz zapasami surowców. Pieniężny wyraz tych wszystkich składników potencjału przemysłowego jest ważny tylko jako metoda rachunku, pieniądź nie jest sam przez się ani koniecznym, ani wystarczającym warunkiem zwycięstwa. Dobrze urządzony system pieniężny jest jednak dziś koniecznym warunkiem sprawnego funkcjonowania systemu przemysłowego, o ile się zamierza oprzeć produkcję wojenną na technicznym i organizacyjnym doświadczeniu przedsiębiorstwa kapitalistycznego. Rachunek cen i kosztów jest koniecznym miernikiem wydajności pracy oraz organizacji i chcąc np. skoncentrować produkcję jakiegokolwiek artykułu w zakładach najsprawniejszych, trzeba znać ich koszt, jest to bowiem jedyna miara tego, które firmy najwydajniej wykorzystują pracę ludzką, surowce i t.p. Rachunek cen jest jedynym wypróbowanym wspólnym miernikiem elementów kosztów. Także i dla czysto operacyjnego planowania wojny konieczny jest system cen, a to jako klucz wyboru różnych rodzajów sprzętu, które mogą być dostarczone przez aparat produkcyjny w danym okresie.

Poza tym społeczeństwa dzisiejsze nauczyły się dość ściśle rachunku gospodarczego i chcą wiedzieć ile wojna kosztuje, czy wysiłek ten jest dość sprawnie zorganizowany i kto kosztu wojny naprawdę ponosi. Musimy jednak ciągle pamiętać o tym, że nie bogactwo finansowe, ale rezerwy ludzkie, zasoby kapitału produkcyjnego i surowców są rzeczywistymi gospodarczymi czynnikami, wygrywającymi wojnę.

Wojny pociągają za sobą konieczność ograniczenia konsumpcji społeczeństwa oraz konieczność zwiększenia produkcji tych rzeczy, których potrzebują siły zbrojne. Oznacza to, że wojna finansowana jest przez zwiększenie udziału państwa w ogólnym dochodzie społeczeństwa — przy zmniejszeniu części dochodu konsumowanego — oraz przez zwiększenie całości dochodu. Finansowanie wojny przez ograniczenie konsumpcji jest operacją łatwo zrozumiałą. Podwyższone podatki i pożyczki wojenne ograniczają spożycie społeczeństwa, a zwolniona zdolność produkcyjna fabryk znajduje zastosowanie w produkcji sprzętu i zaopatrzenia armii. W wypadkach najprostszych może to wyglądać tak, że ludność cywilna zakupuje mniej ubrań, a przemysł tekstylny wyrabia zamiast tego materiały mundurowe. Jest to wypadek najrzadziej zachodzący, normalnie trzeba przesuwać robotników z jednego działu produkcji do innych, doszkalać ich oraz instalować nowe maszyny w niektórych działach produkcji. Już jednak prosty rzut oka na cyfry wystarczy, aby się przekonać, że ograniczenie konsumpcji jako sposób finansowania wojny daleko nie może zaprowadzić. Koszt wojny rzeczywiście poniesione przez Wielką Brytanię w roku 1942 — bez udziału Stanów Zjednoczonych w formie „lease and lend” — wynosiły prawie połowę (48,4%) przedwojennego całkowitego dochodu społecznego brutto, a łączne koszty wojny i administracji państwowej wynosiły w tym roku 63,5% całkowitego przedwojennego dochodu brutto. Bez długich dowodów możemy łatwo stwierdzić, że społeczeństwo nie może oddać przeszło 60% swego dochodu, nie popadając w katastrofę gospodarczą.

Cyfry przytoczone odnoszą się do dochodu społecznego brutto, t. zn. obejmują całkowitą wartość produkcji i nie uwzględniają tego, że część tej produkcji potrzebna jest dla zastąpienia zużywających się maszyn, urządzeń, środków transportowych i budynków i ta część nie jest dochodem czystym, część czystego dochodu społecznego zabierana przez państwo wynosiłaby przeszło 70%. Przy obliczeniu tych proporcji sumy absorbowane przez państwo obliczone są w jednostkach pieniężnych o stałej sile kupna z roku 1938, t. zn. z ostatniego roku gospodarki pokojowej. W ten sposób uwzględniony jest już wzrost cen w czasie wojny.

Podobnie do Wielkiej Brytanii kształtują

się te proporcje w Stanach Zjednoczonych. Ogólne wydatki państwa wynosiły w roku 1942—63,6% dochodu społecznego brutto z roku 1939, a same koszty wojny osiągnęły w tym roku 46,5% dochodu społecznego z roku 1939. Wyraźne jest więc, że ograniczeniem konsumpcji wojny nie można sfinansować. Spożycie cywilne możnaby obniżyć na krótkie okresy o połowę, trudnoby jednak przy tak obniżonej konsumpcji oczekiwać utrzymania wydajności pracy na dawnym poziomie, zwłaszcza przy równoczesnej mobilizacji mężczyzn w wieku, kiedy pracują najwydajniej. Właściwą drogą nie jest „krajanie bochenka” czyli odbieranie części produktu społecznego konsumpcji i przeznaczanie jej na cele wojenne, ale te wszystkie metody, które prowadzą do powiększenia dochodu społecznego. Polityka ta doprowadziła w czasie obecnej wojny do powiększenia się dochodu społecznego Wielkiej Brytanii o 20% w porównaniu do roku 1938 — po uwzględnieniu już wzrostu cen w tym okresie. Zmiany dochodu społecznego między rokiem 1938 i 1942 są następujące (w milionach funtów):

	1938	1942
Spożycie	4035	3408
Wydatki państwa	845	3545
Powiększenie i amortyzacja kapitału	707	- 253
Ogółem dochód społeczny brutto	5587	6700
Ewolucję dochodu społecznego i wydatków państwowych Stanów Zjednoczonych w czasie wojny przedstawia poniższa tabela: (w miliardach dolarów)	1939	1942
Spożycie	62,0	69,7
Wydatki państwa	15,1	56,0
Powiększenie i amortyzacja kapitału	11,0	7,5
Ogółem dochód społeczny brutto	88,1	133,2*)

Wzrost dochodu społecznego wynosił w Stanach Zjednoczonych 51% dochodu z roku 1939, który tu jest wzięty za podstawę ze względu na to, że rok 1938 był w Stanach Zjednoczonych nienormalnie kryzysowym.

Obliczenia te wykazują, że z kosztów wojny wynoszących w Wielkiej Brytanii w roku 1942 — 2.700 milionów funtów o sile nabywczej z 1938 roku, 1113 milionów funtów dało zwiększenie produkcji, 627 milionów funtów pokryto przez zmniejszenie konsumpcji, a 960 milionów funtów osiągnięto przez wykorzystanie sum oszczędzanych i przeznaczonych na amortyzację.

W Stanach Zjednoczonych wydatki wojenne państwa wynosiły w roku 1942 — 40,9 miliardów dolarów i pokryło je zwiększoną produkcją o 45,1 miliardów dolarów i zmniejszeniem inwestycji i amortyzacji, co dało 3,5 miliarda dolarów. Ogólne spożycie nie tylko nie spadło skutkiem wojny, lecz wykazało wzrost o 7,7 miliarda dolarów (wszystkie kwoty wyrażone są w dolarach o sile kupna z roku 1939).

Olbrzymie wydatki państwa w czasie wojny pokryte więc zostały zwiększeniem produkcji, zmniejszeniem konsumpcji i przeznaczaniem na cele wojenne całej kapitalizacji kraju oraz tych sum, które potrzebne są do utrzymania majątku produkcyjnego społeczeństwa (amortyzacji). Gospodarka taka nie może być uważana za normalną, bo uniemożliwia ona inwestycje i rujnuje majątek społeczny. Było, oczywiście, możliwe inne rozwiązanie tego dylematu — tę samą produkcję wojenną można było osiągnąć, ograniczając silniej spożycie a pozostawiając kwoty amortyzacyjne nienaruszone. Wydaje się jednak, że przy silniejszym skurczeniu konsumpcji wydajność pracy nie mogłaby być utrzymana na odpowiednim poziomie, zwłaszcza że wojna wciągnęła w tryby produkcji mężczyzn starszych i kobiety, a więc rezerwy pracy mniej wydajnej i wymagającej wyższych płac dla utrzymania wydajności. Większe ograniczenia konsumpcji mogłyby się więc okazać niecelowe.

*) Patrz: The Economist: Budget White Paper kwiecień i maj 1943.

„Hitlerowcy budują nową Ruhrę w Polsce”

Pod takim tytułem socjalistyczny dziennik „People” w numerze z dnia 20 czerwca b.r. pisze o przeniesieniu znacznej części przemysłu niemieckiego z Zagłębia Ruhry do Polski.

Raporty, nadchodzące z Polski, stwierdzają:

1. Wiele fabryk pracuje na dwie i trzy zmiany, produkując broń, amunicję, części zapasowe do maszyn, instrumenty optyczne oraz instrumenty precyzyjne dla łodzi podwodnych i samolotów;
2. polscy robotnicy wykwalifikowani zostali wcieleni do tych zakładów przemysłu wojennego, przy czym pracują oni pod nadzorem Niemców;
3. przed wejściem do fabryki każdy robotnik zostaje ostrzeżony, że zdrada tajemnic produkcji karana będzie śmiercią. Nie wolno mu wchodzić do budynków innych działów fabryki poza tym, w którym jest zatrudniony. „Mimo tych zakazów — lojalni Polacy dostarczają informacje”.

Oto garść tych informacji: W COPIE znajduje się większa część przemysłu wojennego. Niektóre fabryki produkują pociski do dział 75 mm, 88 mm

Braki, które powstają w czasie wojny w majątku narodowym, łatwo będzie uzupełnić, gdy ograniczy się wydatki państwa do normalnego poziomu — pozostawiając ogromne kwoty do dyspozycji przemysłu — i gdy zdemobilizuje się miliony mężczyzn. Naprawa szkód wojennych i wyrównanie tych zaległości w amortyzacji majątku społecznego nie będą łatwymi procesami i wszystko zależeć będzie od kierunku polityki gospodarczej. O ile demobilizacji towarzyszyć będzie depresja gospodarcza i skurczenie dochodu społecznego, proces ten może być naprawdę trudny. Jedynie polityka ekspansji gospodarczej i utrzymania na wysokim poziomie dochodu społecznego po wojnie jest tu kluczem, rozwiązującym trudności.

W Stanach Zjednoczonych koniunktura wojenna w przemyśle obeszła się bez tych nienormalnych objawów konsumowania substancji majątku. Stany Zjednoczone były jednak w znacznie lepszej sytuacji: wojna trwa tam o dwa lata krócej, a mobilizacja obejmuje mniejszy odsetek ludności. Poza tym znaczenie przewozów morskich dla produkcji amerykańskiej jest znacznie mniejsze, a z wyjątkiem kauczuku wszystkie prawie surowce są łatwo dostępne. Wszystkie te korzyści pozwoliły na silniejszy wzrost produkcji niż w Wielkiej Brytanii, która oprócz ciągłej trwającej walki o drogi dowozu musiała przezwyciężyć trudności w przemyśle i transporcie, wynikające z bombardowań niemieckich.

Metody zastosowane dla osiągnięcia tych wyników gospodarki wojennej polegają na regulowaniu zaopatrzenia przemysłu w surowce i pracę oraz na gwarantowaniu temu przemysłowi rynków zbytu. Zaopatrzenie w surowce było w Wielkiej Brytanii problemem transportu morskiego oraz do chwili wejścia Stanów Zjednoczonych do wojny problemem finansowym. Marynarka handlowa brytyjska potrafiła pomimo wszystkich trudności zaopatrzyć przemysł brytyjski w surowce a ludność w żywność i to jest wielkie znaczenie bitwy o Atlantyk. Prawdziwym problemem finansowym było zapłacenie za ten import w okresie, kiedy produkcja wojenna tak absorbowała zdolność wytwórczą przemysłu brytyjskiego, że eksport musiał się poważnie obniżyć. Dużą część dowozu surowców trzeba było finansować zadłużaniem się zagranicą i sprzedawaniem wartości majątkowych zagranicznych, będących w posiadaniu rządu i obywateli brytyjskich. Odsłone cyfry nie zostały opublikowane, dla przykładu podamy, że w czasie wojny 1914—1918 Wielka Brytania sprzedała akcje i obligacje zagranicznych za około 622 miliony funtów dla zapłacenia importu wojennego, a obecna wojna może się okazać droższa. Udział Stanów Zjednoczonych w wojnie i pomoc w formie „lease and lend” rozwiązuje zagadnienie finansowe w zupełności.

Najtrudniejszym momentem była mobilizacja przemysłowa i wykorzystanie w pełni tych rezerw, które w społeczeństwie pozostały po mobilizacji wojskowej. Należą tu przede wszystkim robotnicy dawniej nie zatrudnieni, ludzie starsi, kobiety, oraz z warstwy mieszczańskiej ci, których warsztaty pracy mogły być zwinięte wskutek koncentracji produkcji i handlu. Wciągnięcie tych rzesz do przemysłu wymagało przezwyciężenia wielu oporów, zwłaszcza związków zawodowych wysoko kwalifikowanych robotników, którzy uważali to za naruszenie swojej pozycji w przemyśle. Rozwiązanie tych problemów oraz uzyskanie możliwie dużej wydajności pracy i wyeliminowanie konfliktów udało się dzięki czynnej współpracy zarówno związków zawodowych, jak partii robotniczych w organizowaniu produkcji. Współpraca ta sięgnęła w Wielkiej Brytanii do szczybła najniższego, t. j. do poszczególnego zakładu przemysłowego, gdzie w komitetach produkcyjnych przedstawiciele zatrudnionych robotników współdziałają w organizowaniu produkcji. Ta atmosfera kompromisu i zawieszenia wszystkich spraw spornych dała w rezultacie to, że ilość dni pracy, straconych z powodów konfliktów, była w r. 1942 pięciokrotnie niższa niż w r. 1918.

W Stanach Zjednoczonych nie istnieje praktycznie problem finansowania importu surowców, bo nawet bardzo obniżony eksport amerykański wystarcza zawsze na pokrycie przywozu tych niewielu surowców, których na

terytorium Stanów nie ma. Problem mobilizacji przemysłowej został tam rozwiązany dotychczas głównie przez wciągnięcie do pracy dużej rezerwy bezrobotnych. Zagadnienia stosunku płac do cen i zysków nie są tam jeszcze w pełni rozwiązane, o czym świadczą strajki. Wynikły one przede wszystkim z wojennego wzrostu cen zwłaszcza artykułów rolnych. Prawdziwym problemem, który tu musi być rozwiązany, jest udział ludności rolnej w ogólnej produkcji społecznej. Wojna była dla farmerów amerykańskich wyjściem z długoletniej depresji, ale wyższe ceny, które poprawiły ich sytuację finansową, oznaczały zubożenie ludności miejskiej — konflikt, który jeszcze oczekuje na kompromisowe załatwienie. Celem regulacji cen musi tu być stworzenie warunków utrzymania i powiększenie produkcji i dochodu społecznego, które już dotąd osiągnęły poziom rekordowy, wyższy niż w czasie najlepszej koniunktury.

Rozwój gospodarczy Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii w czasie wojny obala stanowczo tezy tych ekonomistów, którzy opierając się na tradycyjnej teorii równowagi, ograniczali zakres polityki gospodarczej do problemów podziału dochodu społecznego, a jego wielkość uważali za coś stałego, zdeterminowanego przez siły, których nie można kontrolować. Ta pesymistyczna doktryna ekonomiczna dominowała nad myśleniem teoretyków ekonomii i polityków, a wynikiem jej stosowania była niemal permanentna depresja w okresie między dwiema wojnami światowymi. Trzeba było dopiero wojny i tego wielkiego wysiłku gospodarczego, którego wojna wymaga, aby przekonać polityków o potencjalnych możliwościach ekspansji naszego systemu gospodarczego. To, że kraje będące w stanie wojny i daleko posuniętej mobilizacji najproduktywniejszego elementu ludzkiego, mające bardzo utrudnione przewozy morskie i dostawy surowców i odczuwające skutki bombardowań, potrafiły powiększyć swój dochód społeczny powyżej najwyższego poziomu z okresu pokojowego, jest oczywiście wystarczającym świadectwem przyszłych możliwości gospodarczych i powinno być wskazówką dla tych, którzy w przyszłości będą rozwiązywali zagadnienia gospodarcze, związane z demobilizacją i odbudową powojenną.

Obecna wojna wykazała jaskrawo, że nie drastyczne ograniczenia konsumpcji, lecz powiększanie produkcji jest tą właściwą metodą gospodarki wojennej. Podobnie należałoby rozwiązywać problemy powojenne i pokojowe. Wielkie sumy potrzebne na odbudowę krajów zniszczonych przez wojnę oraz na rozbudowę przemysłu w krajach niedość uprzemysłowionych można także ciągnąć, stosując różne metody. Można ograniczać konsumpcję, zmuszać ludność do zaciskania pasa i utrzymując całość dochodu społecznego na stałym poziomie, większą jego część przeznaczyć na te cele. Byłoby to stosowanie polityki „krajanie bochenka chleba”. Można jednak dążyć przede wszystkim do takiego zwiększenia produkcji i dochodu, aby nadwyżka dała potrzebne sumy. Ta metoda ekspansji jest bez porównania bardziej celową polityką, bo rozwiązuje także problemy demobilizacji i przestawienia przemysłu na produkcję pokojową. A nie wolno nam zapominać o tym, że zwolnienie mas mężczyzn z wojska i cofnięcie fabrykom zamówień wojennych może rozpętać ogromny kryzys w przemyśle i że kryzys ten zastrzyż tylko wszelką politykę zaciskania pasa. Plan powojennej polityki gospodarczej powinien rozwiązywać problemy demobilizacji łącznie z problemami rekonstrukcji i przebudowy przemysłu i to przez stosowanie tych metod, które zapewnią pełne zatrudnienie pracy i kapitału i wysoki poziom produkcji, a nie przez powrót do starych zasad polityki gospodarczej, które każde niedomaganie życia gospodarczego próbowały leczyć zaciskaniem pasa i depresją.

Obecna wojna nie jest jednak pierwszą praktyczną lekcją takiej polityki gospodarczej. Już wojny napoleońskie, a potem pierwsza wojna światowa spowodowały duże ożywienie gospodarcze, jednak doświadczenia tego ani teoria, ani praktyka nie wykorzystywały. W okresie depresji po wojnach napoleońskich communis opinio teorii i praktyki ekonomicznej poszła raczej za Ricardem i teorią równowagi, niż za teorią ekspansji Malthusa. Po pierwszej wojnie światowej nastąpiła krótkotrwała hossa koniunkturalna, wywołana dodatkowym popytem tych, których konsumpcja była przez okres wojny ograniczona, poczem depresja trwała niemal do wybuchu drugiej wojny światowej.

Należy mieć nadzieję, że nasze pokolenie wykorzysta wreszcie praktycznie te doświadczenia, zwłaszcza, że już w okresie przedwojennym kraje, w których zastosowano teorię ekspansji, potrafiły przezwyciężyć kryzys i rozwinąć swoją produkcję i dochód społeczny znacznie lepiej niż kraje, w których ciągle jeszcze panowała doktryna „krajania bochenka chleba”.

Prawdziwym problemem gospodarki powojennej będzie takie regulowanie rytmu życia gospodarczego, któreby nie pozwalało na powtarzanie się depresji, kiedy to powszechna nędza łączy się z marnotrawieniem energii ludzkiej i kapitałów. Rozwiązaniem może być jednak tylko taki system, w którym biurokratyczna kontrola państwowa nie byłaby hamulcem postępu technicznego i gospodarczego.

Poniżej przedrukujemy w nieco skróconej postaci rozdział z książki Zdzisława Morawskiego „Sacco di Roma” (Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1923, — pierwszy druk w „Przeglądzie Polskim”), opisujący dzieje zajęcia i złupienia Rzymu w 1527 r. przez cesarskie wojska niemieckie i hiszpańskie, do wodzone przez konetabla Karola księcia de Bourbon.

Wojsko, które w ciągu marszu wzrosło do poważnej liczby trzydziestu kilku tysięcy ludzi, rozłożył Bourbon półkołem wzdłuż Janikulu od Porta San Pancrazio aż po Watykan. Na kwatery dla siebie obrał klasztor Sant Onofrio. Podobno jeszcze tego samego dnia po przybyciu wysłał trebacza do miasta z zagraniem żywności i pozwolenia na wolne przejście przez Rzym. Odpowiedzią nie było, a właściwie było nła monitorium papieskie „contra Carolum de Borbonio, Romam invadentem”. Nazajutrz opary, podnoszące się z równin Kampanii, powiały na miasto i otuliły gęstą



PAPIEŻ KLEMENS VII
portret Angela Bronzino

osłoną dzielnicę Leoniską. Atakującym było to na rękę, bo łatwiej mogli pokradnąć się nieopatrzenie pod mury. Pierwsze dwa ataki były przecież daremne. Następujących zbyt blisko raził ogień z muszkietów straży, czuwającej na walach. Od czasu do czasu odzywały się działa Zamku św. Anioła, a choć większość strażników dla zbyt gęstej mgły chybiała cel, tu i owdzie kule pręły przecież szeregi cesarskie. Nawet pod jednym z przywódców, pod księciem Oranii, padł koń od kuli armatniej. Ale Bourbon nie tracił nadziei zwycięstwa. Od świtu na koniu, z ogniem w oczach obiegał szeregi, wydawał rozkazy, gwał i szczerł swoją sforę na miasto. Rozpoznawali go wszyscy po srebrzystej zbroi i zarzuconej pod nią białej opończy. Po owych pierwszych chybotanych atakach zeskoczył z konia i sam ruszył na waly, okalające Campo Santo. Już o mur opierał drabinę i nogę stawiał na szczeblu, kiedy wtem w pobliżu padł wystrzał z muszkietu. „Ah, nostre Dame, je suis mort!” zawołał Bourbon i osunął się na ziemi. Książę Oranii nakrył go płaszczem i konającego poniesił żołnierze do pobliskiej kapliczki del Refugio, stojącej wśród winnic kardynała Pucci. Tam przyjął wiatryk i żył jeszcze kilka godzin, a myśli, która trawiła go gorączką w ostatnich miesiącach żywota, nie miała go aż do zgonu opuszczyć i w majaczeniach konania wyrzwać mu się jeszcze ze słabnącej piersi złowrogi okrzyk: „Na Rzym, na Rzym!”. Zasnęło celnego strażu, przypisywało sobie potem wielu, jak Rzymianin Valentini, Marinelli z Borgarii i znany uczeń Rafaela, Giovanni da Udine. Ale najślinniej widywkę ja dla siebie Benvenuto Cellini, w niedrobnym swym pamiętniku, w którym wśród steku wyległych w bujnej wyobraźni wielkiego artysty nieprawdopodobnych opowieści, wyłania się takie prawdziwe, drgające życiem tło epoki.

A ci Rzymianie, których mieniem rozpoznawano już z pola murów, witali tymczasem wybuchem radości wieści o zgonie konetabla. W lot rozchwytywano podawane z ust do ust nowiny, że szturm odparty, że nieprzyjacieli pod śmiesznie wodzą w rozsypane, a że książę Urbina z wojskami Ligii już następuje, że stanął już nad Tybrem, zajęł Ponte Molle. Złudzenie trwało krótko; w kilka dni później wznosiny przez armię cesarską atak miały być ostatni, lecz zwycięski. W ogrodach kardynała Armeliniego spozstrzegł Hiszpan dom, wbudowany w mury miejskie, z przyspianym naprzeciw gruzami wejściem do piwnic. Przez ten otwór wtargnęli natychmiast do miasta, a równocześnie obok Porta San Spirito lancknechi zdobyli nareszcie wdrzeć się na waly, na których pierwszy stanął niejaki Mikolaj Seidensticker. Kilka w mgłnieniu oki zdobył także dział zwrócić napastnicy na Zamek św. Anioła. Na ten widok wszczął się między załogą popoch, a armia cesarska wdarła się na mury i runęła z okrzykiem triumfu na miasto. Jedną część milicji papieskiej pierzchało odrazu; druga w rozpaczliwym wysiłku jąła broń przystępu do ulic; ale wnet zgłotnia ją liczebna przewaga najeźdźców. Z tyśiącą żołnierzy dzielnicę Parione dziewięć padło trupem; z resztek „Czarnych Znaków” pod Lucantoniem pozostało dziesięć paru przy życiu; całą niemal gwardię szwajcarską wycięto w pień pod Jbeliskiem. Obrona dziel-

nicy Leoniskiej była skończona. Renzo da Ceri wpadł do Watykanu, a tymczasem fala najeźdźców zalała Borgo. Żołnierze cesarscy, z porwanym naprzecde kawalkiem chleba w jednej, a szablą lub szdzą w drugiej ręce, rozpoczęli szalony, dzięki poscig, mordując wszystkich, zbrojnych i bezbrojnych, ludzi i zwierzęta, bo nawet spotkane po drodze konie i muły zabijano, aby nikt przed końcem walki nie mógł unieść łupów. W szale rozbój i pijanistwie krwi nie oszczędzano nic i nikogo; w szpitalach dobijano rannych i chorych, albo ich wrzucano żywcem do Tybru; do wnętrza domów ciskano rozpalone gównie; wieszano żył już w kilku miejscach pożary; między innymi spłonął dom posła francuskiego, Alberta Fiya z Capri. Szczęk broni miewał się z krzykiem ścigających, jakim mordowanych, ale wszystko zagłuszało dzikie wale rozbawionego żołdactwa, które z hasłem „Espana” i „Imperio” święciło straszliwy tryumf.

Klemens VII na dzień przedtem myślał jeszcze o ucieczce z Watykanu. Chciał dotrzeć do bliskiej Ostii, a stanął przedostając się na okrety Andrzeja Doria. Inni radzili mu opuścić przynajmniej dzielnicę Leoniską, cofnąć się na lewy brzeg Tybru, do starego miasta, i zburchać za sobą mosty. Przemogły namowy Renzo da Ceri, który zapewniał, że miasto przeciw wojsku, nie mającemu armat, łatwo obronić zdoła. Papież nie dzielił tej pewności; ale że Rzym miał się bronić, dla przykładu i jemu wypadło w nim zostać. W dzień szturm od rana zamknął się w kaplicy watykańskiej. Z śmiertelnym niepokojem w sercu, pod brzemieniem odpowiedzialności za Rzym i państwo, padł na kolana przed ołtarzem, wzywając jedynie pomocy, której mógł się jeszcze spodziewać. Tę ogromną modlitwę wśród dalekiego huku dział i wystrzałów z muszkietu przerwał nagle około południa groźny odgłos bliźszej walki: cesarscy wtargnęli już byli do miasta i u wrót Watykanu mordowali gwardię cesarską. Do kaplicy wpadła świta papieska; za trzy credo, mówi jeden ze świadków, było już na ratunek za późno. Nawpół niesiony, nawpół pchany, rzucił się papież do korytarza, łączącego Watykan z Zamkiem św. Anioła. Z okien krugżanku widać było poscig najeźdźców tłuszcy za bezbrojnymi mieszkańcami Borgia, dolatywały przez nie dzikie wrzaski zwycięców i zdzierające krzyki mordowanych. Łkając, rzdzał Klemens VII do zamku. Biskup z Nocery, Paolo Giovio, który sam to opisuje, ujął kraj jego szaty, żeby go nie hamowała w biegu, a na otwartym moście, u wejścia z krugżanku do twierdzy, zarzucił mu na plecy własny fioletowy płaszcz, aby po białej szacie nie poznano z ulicy papieża i jaki zacieki lancknecht nie strzelił z dołu za uciekającym.

W chwili kiedy Klemens VII wpadł do Zamku, komendant twierdzy kazał podnieść zwodzony most. Wzmogło to jeszcze zamęt. Wprawdzie około trzech tysięcy ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci, schroniło się już było w obronne mury twierdzy, ale z dwóch stron, od Borgo i od starego Rzymu, przez most na Tybrze napierały szerokiemi wałami, pędząc ku fortecy, dalsze gromady uciekających. One fale zderzyły się z sobą. Zaczęło się mieszać, trątać wzajemnie. Wiele wpadło do fos i rowów, okalających Zamek. Pokończących chwytat nieprzyjacieli. Inni, odparci od Zamku, rzucili się ku łożdom na rzecę. Ale łodzi było za mało, a te, które znalazłono, przecięzione ludmi tonęły. Stary kardynał Pucci, który przez cały ranek stał na walach, zachęcając żołnierzy do obrony, przybył do Zamku, kiedy mosty już były wzniesione. Przedsierając się ku twierdzy, spadł z konia i runął wśród ciżby. Stratoławca i ranego w głowę podniesiono z fosy i przez okno, w którym wylamano kraty, wciągnięto do Zamku.

Zdeklarowani stronnicy cesarscy pozostali w swych pałacach. Ufali w dawny, nawet w krwawych zamieszkach średniowiecznych przetrzyman obyczaj, że przy najeźdźcach Gibellini szanowali mieszkania Gibelliniów, Gwelfowie Gwelfów. Tym razem i to miało być złudzeniem. Ale z początku pałace ich stały się przylutkiem dla tych, którzy szukali schronienia, a do twierdzy przybyli za późno. Inni z zebrałymi naprzecde kosztownościami uciekali do kwatery zaprzajmionych z Hiszpanią i cesarstwem posłów albo do mieszkań Colonnów. Ubożsi kryli się po kościołach i klasztorach lub w podziemiach starych ruin rzymskich. Wszystko to miało być daremne, wszystkich zdołała wytrpilić szatańska chciwość najeźdźców. Ale na tym goręczliwym szukaniu schronienia i kryjówek zesłał mieszkańcom Rzymu pierwsze godziny po wkroczeniu wojsk cesarskich do Borgo. Każdy już tylko myślał o własnym ratunku, nikt prawie o dalszej obronie.

Papież zaś, ledwie się za nim wrzuciadze forteczną zawary, przemysliwał już o nowych układach. Pod twierdzą nieprzyjacieli zbyt blisko podchodził nie śmiać, bo artyleria zamkowa strzegała dostępu. Rzeźbiarz Rafaelo da Monte-lupo i żołtnik Benvenuto Cellini nastawiali działa i kierowali obroną; dziwne ostatnie świadectwo wszechstronności mistrzów odrodzenia w dzieł jego zgonu. Mijała wysłannika papieskiego do starszyzny cesarskiej spiełza na niczym. Książę Oranii we własnym i w imieniu innych pułkowników odrzekł, że do układów przystąpi dopiero, skoro mu papież odda Trastevere i Ponte Molle. Klemens VII nie przyjął tych warunków.

Ala zadanie wojsk cesarskich było łatwiejsze niż przy zdobywaniu Borgia, bo miano już teraz zabrane przed południem armii papieskiej działa. Do szturm u wiodno Janikulu lancknechtów z jednej strony. Wo-

ZDZISLAW MORAWSKI

Lodovico Gonzaga z Sabbionety, dla niezwykłej siły powsechnie Rodomonte zwany. Obrona była niedołężna. W mgłnieniu oki wysadzone bramy i wojsko cesarskie zalało Trastevere. Załoga, porzućwszy broń, umknęła przez Ponte Sisto do miasta. Tam, przy tym moście, miały się teraz rozstrzygnąć losy Rzymu.

Zdobycie Borgia i Trastevere było bowiem dopiero połową zadania. Wiedzieli o tym dobre pułkownicy cesarscy i truchleli na myśl, że im się żołnierstwo rozsypie za łupem, zanim sam Rzym posiedzą. Nie wiedzieli zaś, czy i jak się ten Rzym bronić będzie. Już zmrok zapadał, kiedy zwartym szeregiem Niemcy i Hiszpanie ruszyli ku Ponte Sisto. Zastąpiło im drogę poselstwo z Kapitolu, które wiodł bawiarz w Rzymie osmnastoletni margrabia Brandenburski, Gumprecht. Ale żołnierze nie chcieli już słyszeć o układach. Z wsieklnością rzucili się na wysłanników senatu. Towarzyszący Gumprechtowi protonotariusz Gumprecht, wyciągnął do jednego z przyległych domów i zdołał się ukryć; inni pierzchnęli; sam Eran-denburski dostał się w ręce lancknechtów. A tymczasem wojsko cesarskie dotarło do mostu, którego głowy bronił kwiat szlachty rzymskiej. Zbitą lawą ruszyli na nich horda najeźdźców. Obrona była dzielna, ale wobec przemocy krótka. Vallato, Savelli, Tibaldi i Gianpaolo Orsini, syn Renza, legli trupem. Po ich ciałach szeregi cesarskie wtargnęły do miasta. Teraz już cały Rzym do nich należał i, jak rano na Borgo, rozpoczął się i tu odrazu poscig za uciekającymi i rzeź bezbrojnych mieszkańców. Sanudo w Diarizus swym oblicza, że tego pierwszego dnia wy-

Dnia 3 września o godz. 5.45 rozpoczęła się inwazja na Włochy i dnia 3 września Włochy poddały się. Do porównania z kampanią wrześniową 1939 r. przybył jeszcze jeden przykład. Niewiadomo, czy Włochy broniły się pół dnia.

W chwili przystąpienia do wojny po stronie niemieckiej, Włochy dysponowały liczną i dobrze uzbrojoną armią, licznym lotnictwem i nowoczesną marynarką. Miały za sobą zwycięskie kampanie, należały do zwycięzów w ostatniej wojnie. Do historii przeszły nazwiska generałów, którzy odnosili tryumfy nad wojskami mocarstw centralnych. Kampanie dalsze, w których Włochy zbierały sukcesy za sukcesami, nie wyjaśnia jednak tego zjawiska. Odpowiedzi na pytanie, dlaczego Włochy tak przedko uległy, nie można znaleźć w analizie elementów wyłącznie wojskowej natury.

Od chwili upadku zachodniego cesarstwa rzymskiego wolność Włoch była zawsze związana z problemem przeciwstawienia się Niemcom. Cesarze Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego co po raz, od czasu Ottona I, okupując Włochy, rządzali się tam po swojemu, rozgrywały z Papieństwem walkę o władzę na światem chrześcijańskim. W walce o panowanie nad światem współczesnym naród włoski nie znajduje miejsca na realizację własnych marzeń o niepodległości. W czasie, gdy Francuzi, Polacy, Hiszpanie, Węgry i inni narody kładą fundamenty pod własny byt państwowy, rozwijając w ciągu wieków świadomość narodową, ośrodku władzy państwowej, własne prawa i kulturę, Włosi stają się wyłącznie ośrodkim życia artystycznego. Wprawdzie z Włoch biorą początek przez długie wieki ruchy kulturalne i polityczne, które przeobrażają świat i wzmacniają świadomość narodów w Europie, to jednak z początkiem XIX wieku obraz Włoch — to obraz rozbitcia i braku narodowego programu. Przywódcy włoscy, bodając od czasu Garibaldi, walczyli sami, bez poparcia swego ludu, o stworzenie i narodu i państwa.

Państwo Polskie powstało jako rezultat naturalnej tendencji tworzenia ustroju państwowego. Napór niemiecki w X stuleciu naszezy er przyśpieszył proces. Nie był jednak wyjątkową podniętą organizowania się Polaków. Prawie dziewięćset lat później powstaje państwo włoskie. Dlatego też, jakkolwiek niektórzy pseudo-historiozofowie próbują mówić o młodości pewnych państw i narodów, która ma uzasadniać prężność i szczególne prawa w obecnym świecie i zaliczają do tych państw Polaków, zapominają o tym, że oprócz względów populacyjnych istnieją historia, dyspozycja i charakter narodu, których nie zmienia ani wodzowie, ani programy. Nie można porównywać naszych i włoskich czy niemieckich tradycji państwowych. W porównaniu z nimi jesteśmy państwem mało co młodszym od Anglii. Niemcy i Włochy dlatego, że są o tyle młodsze, nie przetrzymują nacisku wojennego. Gdyby role się odwróciły i Niemcy zostali postawieni w naszej sytuacji, kto wie, wiele dni trwałaby kampania. Młodość narodu nie jest jego wadą ani zaletą, tak samo jak i u człowieka. Ale nie można od dziecka wymagać zbyt wiele.

Ostatnie dwadzieścia lat naszego niepodległego bytu upłynęło pod hasłem budowy państwa, pojętego dość swoiście, Niekoniecznie, szczególnie terminologia, oddzielająca w naszym języku pojęcie państwa od pojęcia narodu, powoduje, że jesteśmy skłonni przeciw-

stawić sobie te dwa terminy. Państwo — to machina. W roku 1870 dokonczyli Włochy budowy machiny państwowej. Risorgimento odbywało się pod hasłem filozofii liberalnej, programu wolnościowego. Czerwone koszule Garibaldiówczy — oto zewnętrzny objaw tego, co działo się w umysłach i duszach produkujących Włochów. Pod tą zewnętrzną, cienką powłoką liberalizmu, była jednak w dalszym ciągu szara masa narodu włoskiego, dla której te hasła nie znaczyły w większości nic, której one nie realnego nie daly. Postęp we Włoszech ograniczył się jedynie do stworzenia instytucji demokratycznych, działalności parlamentu, żywej prasy, liberalnych uniwersytetów. Ograniczył się do zewnętrznych objawów życia społecznego. Hasła w życiu włoskim znaczyły więcej niż czyny. Feudalne stosunki przetrwały we Włoszech niemal do ostatnich czasów. Państwo demokratyczne pozostało piękną fasadą, która odpowiadała tradycjom, była wygodna dla rządzącego domu królewskiego, ale nie oznaczała nic dla duszy narodu. Biedny chłop żył dalej jak i przedtem w atmosferze zabobonu, ciężkiej pracy nie na własnym, bez żadnych praw socjalnych, a praktycznie i politycznie. Rolę we Włoszech niewiele. Przystęp naturalny duży. Poza doskonałe rozwinięciem przemysłem tekstylnym i jedwabnictwem, przemysł ciężki nie miał naturalnych

KONRAD PRUS

FUORI I TEDESCHI

podstaw rozwoju we Włoszech. Bieda i ciemnota ograniczały umysł cierpliwy i niewymagający robotnika i chłopca do zakresu własnych kłopotów, czyniące go obojętnym dla spraw narodu i państwa.

Trudności socjalne, stale narastające do wybuchu pierwszej wojny światowej, rozwijały emigrację do Stanów Zjednoczonych. Ograniczenia, wprowadzone w Ameryce, stwarzają dodatkowe przeszkody dla normalnego ubożenia się społeczeństwa. Wzrost bezrobocia powiększa przepaść między warstwą obywateli, przemysłowców i bankierów z dółami społecznymi.

Stąd też powodzenie ruchu czarnych koszul. Organizacja faszystów miała sprzyjającą atmosferę obojętności całego narodu, który nie rozumiał problemów państwowych, ani swego interesu w takiej czy innej formie rządów.

Państwo faszystowskie imponowało obywatelowi włoskiemu błyskotliwością munduru, monumentalnością pewnych osiągnięć. Gdy jednak przyszło do poświęceń, nawet gdy szło o udział w bezkrawej dla Włoch kampanii abisyńskiej, tam obojętność wioska skończyła się.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

PEJZAŻE PALESTYŃSKIE

I

W GÓRACH JUDEI

Glazy judejskiej opoki
biełają się, nby grobowce,
a ponad nimi obłoki —
libańskie owce.

Wielbłąd z dzwonkiem na szyi
wśród głązów, rzekłbyś — wśród ruin,
— Dokąd, wędrowcze? — Ocalić
wielkość ruinom.

Bezdomnie tutaj i tęskno,
a błąkiet pełen gorzycy.
Niczycie to martwe piękno
i jam też niczyj.

Wśród głązów i wieków cienia
cyprys tkwi pocichutku,
jak w pomnacie milczenia
wykrzyknik smutku.

II

NAHARIAH

Pod Nahariem, na prawo
od drogi jerozolimskiej,
trwa, niezmrużenie jak prawo,
akwedukt rzymski.

Powstał z woli Cezarów,
która niewolnym lud czyni,

Kiedy w kilka dni po wzięciu Rzymu za-
trąbiono na próbną alarm, zaledwie czwar-
ta część żołnierstwa stawiała się do szeregu. Inni ugryźli w rabunkach i rozpuszcili. Miasto już było zdobyte. Teraz na ochotnika zdobywali żołdacy dom za domem bez różnicy, czy należały one do Rzymian, Hiszpanów czy Niemców, czy mieszkali w nich bogaci czy ubodzy. Jednych i drugich grabiano z wszystkiego, brano w niewolę i torturę zmuszano do wysokiego okupu. Już pierwsze dni przerażał Rzymian, jak opowiada w pamiętniku swym Marcello Alberini — „rozlegający się wśród nocnych ciemności po skończonej rzezi łoskot wywalanych bram, rozbitych kas, krzyk męczonych jeńców”. Jeszcze zaś drastycznie opisuje te sceny inny, naczyni również świadek Bawarczy Gumpenberg, „Rzymianie — mówi — wybiegali pomiędzy żołnierstwem na ulice, głosząc się stronnkami cesarskimi i zapraszając do siebie, gdzie dla żołnierza przygotowane jado i napój, łoża i łaźnie. I myślał Rzymianin, że się chełwi Hiszpan żyłą strawy zadolowi. Ale gdy się ten dobre najał i napoił, wtedy potrakował po swojemu gospodarza, zabrał mu żonę i córki, aby z nimi poigrać, a na niego samego wołał: „Dajże nam jako wiernym służom cesarskim pieniądze, jako żeś i ty wierny cesarski człowiek, abysmy z tymi oto błogolawami tryumfować (triumphieren) mogli. Tyle a tyle cesarz nam winien; pożycz, a cesarski majestat ci to odda”. Słysząc to, poznawał Rzymianin szaleństwo swe po niewczasie i chciał kazać Hiszpanowi prawić, czy tak ze stronnikiem cesarskim obchodzić się godzi. A wtedy

żołnierz: „Ty psie fałszywy, dawaj pieniądze albo wisieć będziesz... Łeż, żeś stronnikiem cesarskim, to taki nie targowaby się ze służą cesarskim o zold”. I wzięli go, brali mu żonę i dzieci, plądrowali, palili i męczyli, póki im nie oddał całego mienia. A po pierwszym jawił się drugi i dziesiąty, wzięli go i okupu żądali, gdy zaś ten już nie miał, natenczas mordowano go albo męczono dopóty, aż im w rękach skonał: bo nie było wiary w tym żołnierzu”.

Takie były losy mieszkańców Rzymu. Mężczyzn czekała ruina i niewola, zwykłe tortury, często śmierć, kobiety hańba, a to hańba w oczach rodziców lub mężów, jako straszliwy środek wymuszania okupu. Kroniki opowiadają o matkach, które same sobie wywypiały oczy, żeby na haniebienie córek nie patrzeć. Na bogatsze domy urządzano liczniejsze obawy. W pałacach, służących za przytułek okolicz-
nym mieszkańcom, sporządzono sądowy akt: wszyscy, którzy się w nich schronili, obowiązali się zwrócić gospodarzowi cenę własnego okupu. Za wtargnięciem nieprzyjaciela skądano tam okup. Sumy były ogromne, a biada tym, którzy ich doraznie uiszczyć nie mogli. Gorszy jeszcze los czekał tych, którzy się próbowali bronić: domy ich podpalano lub podkładano po nich nie prochy. Tak wyleciała jedna z wież kapitolinich. Pożar szerzył się dokola. Na Campo Marzo bronił się pałac Lomellini. Szturm był zaciepli, a gdy w ostatniej chwili właściciela, próbując ucieczki, spuściła się na linie w podwórce zamkowy, zabito ją wystrzałem z muszkietu.

było niczym innym, jak obawą przed policją. Były to reformy podobne do reform Piotra Wielkiego. Opowiadania o wychowywaniu narodu okazały się bajką.

Wyjaśnienie obecnego stanu rzeczy nie byłoby kompletne, gdyby pominięto konsekwencje, wynikające z geograficznego położenia Włoch. Gdy popatrzymy na mapę, zrozumimy, dlaczego Włochy stały się centrum Imperium Rzymskiego. Stąd też wszelkie próby rozbitcia tego imperium, czy też tradycji, która po nim pozostała, zawsze zmierzają do serca imperium. Germanowie i ich następcy, Niemcy czy monarchia austriacka, ciągną ku południu, do ciepłego, łagodnego klimatu mora Śródziemnego. Włochom zawsze groziła okupacja niemiecka. Położenie Włoch stało się przyczyną wielkości i przyczyną upadku. Powstanie kanału Suezkiego powiększyło znaczenie morza Śródziemnego. Znalazło się ono z powrotem w orbicie interesów wielkich mocarstw. Zrozumienie historycznej sytuacji i niebezpieczeństw Włoch nakazało politykom zjednoczonego państwa związać się tradycyjnie z Wielką Brytanią, która pragnęła równowagi i pokoju w basenie morza Śródziemnego, która popierała państwowość włoską, jako zabezpieczenie przed niepożądaną inwazją elementów, mogących ten pokój zakłócić. Nigdy Włosi nie byli bliżej zrealizowania swoich ideałów, jak po wojnie światowej. Włochom trzeba było pokoju, Niemcy zostały podbite, Austria politycznie przestała się liczyć. Zdawało się, że na długie lata zniknie niebezpieczeństwo inwazji zbrojnej z przeludnionym nad Włochami. Młode, wreszcie rozwiązane swoich problemów gospodarczych i społecznych w atmosferze spokoju i pewności. Związanie z Wielką Brytanią i Ameryką, gdzie wiele Włochów znalazło drugą ojczyznę i gdzie tyle zdobyli sympatii, stwarzały ogromne możliwości dla rozumnych, realistycznie myślących polityków. Zmieniła się jednak zasadniczo struktura społecznej i państwowej Włoch. Trudności, które narastają, próbują rozwiązać swoiście Mussolini.

Trudno rozpatrywać całe dziedzictwo rządów tego człowieka. Porwany własnym gęstem, stworzywszy dyktatorstwo gestu i pozorów, próbował nie tylko przetworzyć swój naród wylęgającym mowę i środkami policyjnymi, ale zmienić naturalne zasady polityki. Wobec tego zerwał z Anglią i wprowadził do Włoch Niemców. Trudno o bardziej koszarne konsekwencje. Czym jest obca okupacja, wiemy dobrze, i nie trzeba nam tego tłumaczyć. Wojna naszniszy we Włoszech więcej, niż Mussolini zbudował, a naród wrócił tam, gdzie był w wilegim marszu na Rzym.

Tworzenie się narodu włoskiego, to nie zamknięty proces. Naród włoski powstał pod hasłem Fuori i Tedeschi — precz z Niemcami! W tej ogólnej paniki okupacji niemieckiej i austriackiej należy szukać przyczyn, dla której pierwsza wojna światowa przeciw Niemcom była mimo wszystko popularna. To hasło jest bodaj w tej chwili jedynym hasłem, łączącym wszystkich Włochów. Nie można dla takiej czy innej racji politycznej przekreślić zasadniczych inklinacji narodowych. Dzisiaj Włosi, mimo tego że bili się tak niedawno w bardzo ciężkich warunkach przez trzy lata, nie chcą bić się i pół dnia po stronie niemieckiej. Kampanie afrykańskie odbywały się zbyt daleko i zbyt mało zagrożą bezpośrednio Włochom, by naród włoski musiał się wypowiedzieć.

Gdy wojna zapukała do wrót Italii, odżyło stare hasło.

III

ZACHÓD NAD MORZEM MARTWEM

Nad morzem Martwym zachód
nieśię zgaśnięte chmurom:
miastom powietrznych gmachów,
przepastnym murom.

Słońce — groza widoma —
pali je krwawym ogniem.
To tu spłonęła Sodoma
za krew i zbrodnie.

Dziewiąta zmiołta jak burza,
głazów pokryta warstwą,
i suchy wspina się burzan
na skałę martwą.

— Wędrowcze, nie czas nam błądzić
wśród niebios i dziejów mroku:
idziemy karać i sądzić,
przyspieszmy kroku.

Trzymały się przez chwilę pałace tych kardynałów, którzy należeli do zdeklarowanej zwolenników cesarskich i ufali, że ich ten tytuł przed napadem cesarskim wojska uchroni. Ale złudzenie to trwało krótko. Pierwszą ofiarą padła Cancellaria, wspaniały pałac Pompea Colonna, którego nie było jeszcze w Rzymie. Hiszpanie i Niemcy zabrawali nagromadzone w nim skarby. Kardynał della Valle ogromnym okupem uratował siebie i chroniących się w jego pałacu Rzymian. Ale okup, spłacany przez kardynałów Hiszpanom, budził chciwość lancknechtów. Rzucili się więc na rezydencje kardynalskie. Zaczęło się od kilkogodzinnego szturm na pałac sienieński. Kardynała Piccolomini wzięto w niewolę. Obnażonego zaciągł żołnierze do kwatery swych na Borgo, biczując go, kopiąc i poniewierając po drodze. Następnie padły pałace della Valle, Cesarini i Enckevoort. W pierwszych dwóch obliczono łupy na 200.000 dukatów bez względu na to, że już okup przedtem był spłacony. Ośmiendziesięcioletni kardynał Ponetto dostał się także w ręce nieprzyjacieli. Godzinami włożono go po miesiące, do banków i znajomych, od których spodziewano się za niego okupu. A kiedy starzec się już na nogach utrzymać nie mógł, jeden z lancknechtów zarzucił go sobie na plecy „jak martwe ciało!” — „como un corpo morto”. Gorsze były jeszcze losy kardynała Numalio, z zakonu św. Franciszka. Tak jak Ponetta włożono i jego po miesiące, szukając okupu. Wiozł go lancknecht, przywiązanego za sobą na koniu. Okupu nie zdołał jednak zebrać. Wtedy złożyli go lancknechtowi do trumny, poniesi w procesji do kościoła Araocoli i złożyli na katafalku. Rozpoczęły się bladejskie ekkwekie z bluznierczymi śpiewami. Nie brakło i mowy pogrzebowej, w której jeden z lancknechtów wylizwał rzekome winy i zbrodnie kardynała. Otworzono nawet grób w posiadze i już go żywcem grzebać miano, aż w ostatniej chwili, nie mogąc i w ten sposób wymusić na nim pieniędzy, których nie miał, zawieszono go znów w tym samym pochódzie do domu. Tam wobec nawpół żywego odbyła się stypa i pijatyka zakończyli lancknechty tę straszłą ceremonię. Dostał się także w ręce najeźdźców uczonej dominikanin Tomasz de Vio, znany powszechnie jako kardynał Gaetanusi, ten sam, który już na Soborze Laterańskim tak żarliwie wołał o reformę kościoła, a w r. 1518 opanował Lutrowi w Augsburgu. Przebranego jak na posmiewisko, z czapką fachsina na głowie, gnali lancknechty przez miasto w daremnym poszukiwaniu okupu, bijąc go i poplekując po drodze. Ze łzami kazał Klemens VII błągać Niemców, ażeby się ulitowali i „nie gasili tej pochodni Kościoła”.

W wymownym w swej scisłości sprawozdaniu, sporządzonym dla Karola V przez jednego z urzędników cesarskich, towarzyszących armii, mówi autor, że „lancknechci zachowywali się w Rzymie jako prawdziwi łuteranie, inni jako ludzie stojący poza wszelką religią”. Różnica między śladym, zwinnym Hiszpanem, a jasnomyślnym, sztywnym Niemcem z Północy objawiała się i w innych znanionach. Hiszpana cechowało wyrafowanie okrucieństwo i rozwieźłość, Niemca brutalność i pijadstwo. U obu była równa chciwość. Tylko pierwszy grabione dobro chował żądroźnie, drugi trwonil wnet wszystko na grę i pijatyki. Brantome opowiada, że do długo jeszcze po tych dniach kłęski zwano w znaczącym zwrocie kobiety rzymskie, od wielkich pań do prostych służebnic, „rellikwiami z czasów Saccy”. Nawet dożenne córki Domenica Massimo po spalaniu rodzinnego pałacu nie uszły gwałtu. Lud rzymski upatrywał w tym karę Boga za to, że kiedy Klemens VII w wigilię najazdu wezwał zamozniejszą mieszczanów Rzymu do składki na werbowanie wojska, Massimo, jeden z najbogatszych patrycjuszów, przysłał papierów jakby na żart sto dukatów.

U lancknechtów odzywała się natomiast jakoby echem ze zbuntowanej przeludnionej Północy nienawiść do papieżstwa i jego sług, do obrządków i świętości i jego Miasto świątyni w świątyniach swych miało też najeźdźcą dawać furę najeźdźców. Ani jeden z kościołów nie ustrzegł się świętokradkiej napadzi. W bazylikach św. Piotra i św. Pawła powstawiano konie, jak w stajniach. Z Lateranu zabrano głowy Apostołów, którymi żołnierze rzucali po ziemi jak piłą. Z klasztoru San Silvestro skradziono główę św. Jana Chrzciście, która potem pozostała z ogólnej rzezi ostatnią zakonnicą znalazła. Lancę Longinusa porwał któryś z lancknechtów i ostrze jej na drzewu własnej lancy osadził. Chusta Weroniki, uświęcona cześć tytuł wieków, przez kilka dni brukała się po karczmach rzymskich. Wielki krzyż Konstantyna włożyli żołdacy po ziemi na Borgo. W innych kościołach rozbijano ołtarze, rabowano świeczniki, naczynia, szaty i przybory kościelne, strzelano do krucyfiksów, dziorawiono obrazy, z relikwiarzy wyrzucano relikwie, a nawet z kielichów hostie, depcząc je w kale po ziemi. Otwierano nakoniec groby, szukając w nich skarbow. U św. Piotra rozbili Hiszpanie grób Apostoła, a następnie jeli odwaląc kamienie z grobowców papieskich. Kości Sykstusa IV ustrzegł od poniewierki ciężar wspaniałego pomnika Pollajola; ale do sąsiedniej trumny drugiego z papieżów Roverów wśliznęła się oheicie świętokradzka ręka żołdaka.

Łupieniu kościołów towarzyszyło mordowanie zakonników, haniebienie zakonnie. Pierwszą niemal ofiarą najeźdźców padł klasztor przy Santa Maria del Popolo, dziwnym trafem ten sam, w którym przed kilku laty zamieszkał był przelotnie mnich, przybyły z Północy, z którego okiem patrzył na Rzym Odrodzenia, ten Rzym, któremu wrócić w buncie swej nowej nauki tak zacięty miał wydać wojnę.

Dawnych jego braci zakonnych wymordowali teraz najeźdźcy do nogi. Równie straszny był napad na kościół klasztor Minerwy, na klasztor na Campo Marzo i na Monte Citorio. Mord i rabunek kończyły się zwykłe orgie: na ołtarzach rozsiano się żołdactwo z ulicznicami; grano w kości, popijając z święconymi kielichów; pod stropem kościelnym rozlegały się kłatwy i bezwstydne śpiewy; krew z winem spływała po posadzce, a wśród wrzasku i pijanstwa dopuszczano się wszelkich bezceństw. Potem cała ta rozbójnicza zgraja ruszała z ciężkim ładunkiem łupów do kwatery. Były to pochody z piekielnego karnawału: szli lancknechci z infułami na głowach i pastorałami w rękach, ulicznicy, przybrane w ornaty i kapy, a przodem pędzono kapłanów, przebranych na posmiewisko w stroje kobiece, i wzięte w niewolę, odarte z tych strojów, matrony i dziewczęta rzymskie. Innym razem ciągnęła taka maskarada pod Zamek św. Anioła: na osłach



CESARZ KAROL V
portret Krzysztofa Ambergera

jechali lancknechci, przebrani za kardynałów, w środku jeden z nich w białej sutannie papieskiej. Okrzyki pijanej tłuszy „Luther! Papst! Luther! Papst!” rozbrzmiewały do kła i dochodziły aż do wnętrza Zamku, do uszu Klemensa VII. A tymczasem go karnawałowy papież lancknechtów piorunował w długiej przemowie na papieżu rzymskich, „którzy śmieli kłaść przelcie stopy na uświęcone głowy cesarzów”. W szale świętokradzkim nie było granic: razu jednego przybrał lancknechci ośa w szaty kościelne i jeli przymuszać uwieszonego kapłana, aby mu podał Pzenajętszy Sakrament; ksiądz hostię za hostią sam połykał, aż padł nieżywy pod razami oprawców.

Nie brakło takich, którzy dobrovolni, śmiercią ratowali się wśród przeciągłych tortur. Cały katalog zastosowanych tortur wylczy Luigi Guicciardini w społecznych swych zapiskach. Ten sam Guicciardini opowiada, jak niejaki Guilianno Principiale z Camerino, dworzann kardynała Cibo, przetrzymawszy już długo torturę, a nie mając pieniędzy na okup, cofnął się w czasie przeciągłego śledztwa ku oknu i rzucił się na ulicę, aby dorównać śmiercią skrócić mekę. Inny, Giovanni Ansaldo, zapłacił już być na torturze tysiąc dukatów, a gdy go nadal męczono żądając więcej, wydarł pugnatł oprawcy i

SACCO DI ROMA

(Dokończenie ze str. 7)

Oranii z biblioteki wygnać zdołał, dostali się przeciw żołnierze do sal innych. Słynne witraże Wilhelma de Marciat padły ich ofiarą. Wybito je, żeby ze spajającego pojedyncze szyby okowu lać kule. W kaplicy Sykstyńskiej zerwano ze ścian wspaniałe Arrasy Rafaela, o których już Paris de Grassis pisał, że „piękniejszych nie znajdzie w universum”. Przez trzydzieści prawie lat miały się błakać, zanim powróciły znów do Watykanu. Zresztą spisu zrabowanych naówczas dzieł sztuki zestawiać niepodobna. Stanowiłyby one jednak spory bez wątpienia przyczynek do inwentarza krzywd, które obrazoburczy instynkt Reformacji wyrządził światu. A spis taki do olbrzymich wzrósłby rozmiarów, gdyby zestawiać można owe mnóstwo złupionych, zniszczonych lub zaginionych sprzętów, którymi ówczesny Włoch, tak często dziki jeszcze w obyczajach, ale wykwinny w przyzwyczajeniach, w swej codziennej, powszedniej niejako potrzebie sztuki otaczać się lubił.

Trzy tygodnie trwało właściwe łupienie miasta, ale miesiącami trwać miała niedola Rzymian. Kogo oszczędził Hiszpan, ten wpadł w ręce lancknehta, lub naodwrot. Zwykle w każdym domu pojawili się obaj kolejno, a co jeszcze po nich zostało, to padło na pastwę zbrojnego chłopstwa z zamków i grodów Colonnów w Kampanii. Taborami wywozili z miasta najpospolitsze sprzęty, zniszczone przy plądrowaniu stoły i łóżka, połamane odrzwia i okiennice, wyrwane ze ścian żelazca i gwoździe. Po przejściu tej czerni nie już niemal w zrabowanych domach nie zostało. Ale pojawili się w nich nowi goście: głód i zaraza. Długa wojna zubożała kraj nie mógł się już wyżywić, a o regularnych dostawach do miasta w panującym bezzwładzie mowy być nie mogło. Toteż już w pierwszych dniach maja donosił Ferrante Gonzaga bratu Fryderykowi do Mantui, że w domu, w którym zamieszkał „kilka osób umarło z głodu” i że „bochenek chleba sprzedawano za dukata”. W czerwcu, z wybuchem upałów, wybuchło morowe powietrze i śmierć poczęła kosić między zwycięzonymi i zwycięzcami. Po stu ludzi i więcej umierało dziennie, a że nie było komu ich grzebać, więc rzucano trupy pod bramy kościelne, gdzie leżały nie pochowane, lub do Tybru. Dom za domem znaczył się złowrogim, ostrzegającym przed zarzą krzyżem. Niektórzy kładli ten znak na ścianie w nadziei, że odstraszy łupieżców. Ale i to nie pomagało i Alberini opisuje, jak nieszcześliwi Rzymianie za zbliżaniem się żołnierzy „chowali resztki chleba pod sienniki chorych, ale chowali daremnie, bo bezbożnicy, nie troszcząc się o zarazę, zabierali je stamtąd, zostawiając głodnym tylko słomę i węglę z postania”.

Straszny był obraz miasta, nawiedzonego równocześnie przez morowe powietrze, głód i ogień. Mieszkańcy, którzy nie zdołali złożyć okupu, jęczeli w niewoli. Barbarzyński zwycięzca używał ich bez względu na stań i urodzenie do najniższych posług. W kloakach musieli szukać pochowanych rzekomo skarbów. Inni, ukryci w domach, nie śmieli głowy na dwór wytknąć. Grolier opisuje, jak po raz pierwszy po wzięciu Rzymu wyszedł na miasto: „W miarę—mówi,—jak zdążyłem ku Forum, cisza, samotność, groza, zaduch, idący od trupów, zalegających ziemię, przejął mnie do szpiku; domy były otwarte, bramy wylamane, sklepy wymarłe, a po pustych ulicach gnało tylko kilku dzikich żołdaków”. Tamteży przeleciała już była burza, ale tam, gdzie jeszcze szalała, gdzie męczono jeńców o okup, „z ulicy słychać było — jak opowiada znów Luigi Guicciardini — nie westchnienia lub płacz, ale przeciągłe jęki i zawodzenia nieszcześliwych, bo wyli, jak zamknięci we wnętrznościach Falaryjskiego byka”.

Tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem upływał, a twardy najeźdźca deptał bez litości Rzym i coraz bardziej rosła owa, „sacra ruina” Wiecznego Miasta, jak ją tak wymownie Alberini w swym pamiętniku nazywa. A żołnierz cesarski, Sebastian Schärtlin von Burtenbach, który odwiedził do domu piętnaście tysięcy dukatów oprócz cennych sprzętów, strojów i kosztowności także i porwany w jednym z kościołów rzymskich „długi na dwanaście stóp strzyżek Judasza”, zapisywał na wspomnienie tych triumfów liczbę zabitych wraz z rozmiarem rabunku i pożogi, kreśląc te, tylko w niemieckim oryginalnie całą swą brutalną dosadność zachowujące słowa: „Den 6 Tag May haben wir Rom mit dem Sturm genommen, ob 6.000 Mann darin zu Todt geschlagen, die ganze Stadt geplündert, in allen Kirchen und ob der Erd genommen was wir gefunden, ein gut Theil der Stadt obgebrannt”. W słowach tych brzmi jakoby echo ciężkich stąpań uchodzącego z łupem lancknehta.

TADEUSZ SOWICKI

SHERBASHAKHI

Panom: Fahrenheitowi i Celsjuszowi oraz znajomym z A.P.W. pomiędzy Eufratem i Tygrysem ostatecznie i nieodwołalnie przegrzanym

poświęcam.

Informacja dla turysty:

Jest w Baedekerze po Iraku
Pięć cudów, gwiazdką oznaczonych,
Więc primo: dzieci w Sherbashakhu
W sprawie bakszyszu wyszkolone,
Dalej: źródło w Ruwandisie,
W którym się pewien mały król
Kapie wieczorem, potem ciszę
Zamąca śmiechem pośród gór.
Tertio: gazela pod Erbilem
Ma oczy dziewcząt — (mówiąc stylem
Poromantycznych epigonów)
I w antykwarni u Selima.
Kopczą lampa Aladyna.
Piąty nieznany jest nikomu.

Ten piąty sekret-cud — wyjawiam.

Na grobie szeika w Sherbashakh,
Bielutką chustkę huśta wiatr.
Znaczy, na dżumę stary zmarł —
Jak każe przepis księgi Koran,
Kręcić się wokół grobu ma
Kundel z ogonem skręconym w pastorał.

Dzieci kurdyjskie, w myśl przepisów,
Które z topazu i jaspisu
Oczy dostały, mają prawo
Włóczyć się w wielkiej komitywie
Z wyżej wspomnianym, gdy jaskrawą
Strugą ze słońca upaść płynię.

Więc dzieci tych jest sześć tysięcy
A kundle trzy i pastoralne —
A może będzie jeszcze więcej,
Będą brązowe, prawie czarne —
A ktoś nad nimi w transniebios,
W nadfirmamenty
Takt wybija,
Posłuchaj: — klaszczą w Sherbashakhu

O alla — llu — la
allu — ly — a...

A pod ten śpiew —
Pod djabli takt —
Podpływa wiew —
Hutniczy wiatr —
Temperatura wkrótce dopnie
Czterdziestu dwu skaczących stopni,
W Sherbashakh klaszczą:

Allu — lly — a...

Dziwaczny pochód mija wieś.

Na czele Klub Przegrzanych Starców,
Z adiutantami. (Awans w marcu I)
Sekta, co według skrytych norm,
Czci: „Ladies out of Uniform”.
Półnady wzorem secesyjnym,
Przez piersi pas koalicyjny —
Na głowach w turban mokry ręcznik,
W dłoniach Mac Callum (to podręcznik
Dla chcących mówić po angielsku).
Za nimi leniuch i ateusz,
Wlecz się kot-malaryk, w Persji
Ochrzczon imieniem: Koryfeusz.
Dwie tarantule, trzy falangi,
Czterdziestonóżki, salamandry.
Powietrzna trąba kręta wstaje,
Zwana potocznie: „kołontajem”,
Na czubie ma papiery tajne —
Porwane z tajnej kancelarii.
(Co na to sfery miarodajne?)
Trąba się żółtym piaskiem barwi.

— Co pan przedstawia grą mimiczną?
— Ja? — jestem igłą magnetyczną —
— Proszę mi północ dać tu bliżej —
— Lubi pan może rum z anyżem?
— Dziękuję, — jestem syn Celsjusza, —
— Rteć piję. — Upaść zmusza,
— Kto Madelon na przedzie śpiewa?
— Nie wiem. — Kurdowie albo drzewa.

Objaśnienia:

Sherbashakh — wieś w Iraku pomiędzy Altun Kopru a Erbilem, licząca 299 głów. Żadnych osobliwości poza wyżej opisaną nie posiada.
Ruwandiz — miasto kurdyjskie. (Dokonałe melony i fabryka wody sodowej, są i czciciele djabła).
Alla-llu-la, allu-ly-a — jeden z motywów, śpiewanych przez dorosłych Kurdów Układ na trzy głosy z towarzyszeniem klaszczących dłoni).
Mafrag — etap transportów w Transjordanii, — stamtąd rozciąga się pustynia pełna niedbale rozrzuconych czarnych kamieni, działających depresyjnie na ludzi o gołębiem sercu.
Dibega — miasteczko w Iraku. Między innymi: — posterunek policji, na którego dachu grzeją się wesołe jaszczurki. (Przewidywany jest po wojnie bar pod nazwą: „Dibega” w Warszawie, — róg Marszałkowskiej i Żytoj).

Gdy do 47 stopni ciepłota urosła,
Bokiem z lewej i prawej
Podjechali faszyci na osłach.

Kolumnę zamykali poeci —
Skamandryta, romantyk i trzeci,
Jeszcze nie drukowany i zgoła nieznany.
Słońcem, stojącym w zenicie,
Zwyczajnie opętany.

Jak strofka, gdy się potyka i gmatwa,
Jak czarne kamienie pod Mafrag,
Jak transportów i mil monotonia,
Jak wiadomości radiowych ironia,
Jak, — och, jak trudno do tego się przystać,
Gorycz w sercu i włosów siwizna,
Miał ten pochód znaczenie istotne, —
Cudu objawionego dziwnie i pierwotnie.

I możeby tak doszli pod samą Dibegę,
A może jeszcze dalej, do słodkiej Arabii.

Patetycznym i zwartym szeregiem —
Niestety, noc zapadła. Stanęli osłabli,
Rozpoczęło się bowiem zaćmienie księżyca,
Niedokładność w niebieskich obrotach,
Zodiakalno-sferyczna różnica.

Wrócili nikle lampy zapalać w namiotach.

Śpią
Na łózkach, opartych o bańki po benzynie,
Marki „Vacuum Oil Company”.

Działo się wszystko w Iraku,
W czas letniej kanikuly,
W czterdziestym trzecim roku,
Wszystko w arabskie protokoły
Bocianim piórkiem wpisano.

Dan: w Sherbashakh — 5-ta rano.

MARIA PETRY

WIERSZ NIEOFICJALNY

Z cyklu „Przyjaciołom”

I

... więc wiersz — leniwo-płynny, ciepło-pastelowy,
flores poetyczny, tło dla Twojej głowy...
Więc rytm — pętl rozedrgana w ciemny oddech debry,
w rym nabuntowany, mroczniejąco srebrny..

Więc wiersz, co od niechcenia będzie Ciebie „tykać”,
bo wiesz: leniwy zmierzch... licentia poetica...
perłowy kaprys-pastel na pyłach niuansów,
fantazja półcieni... półton asonansu...

słowa-dźwięki w rezonans, w przestrzeń sytniejącą...
impresje rozpierzchniwe... estetyczniejące,
i nastrój, w którym niema sztywnych „pani” — „panie”,
lecz takie sobie miłe o niczym gadanie.

kóte pod dźwiękosłowia ukrywa woalką
to, co smutne, co wiezie się czasem na „Tálpioth”
i z czym się płąs zaczyna, kołys głów i złudzeń
po wszystkim co przedumał osmętniały nudzień.

II.

Wiesz, gdy alkohol zlekka nastroje rozczuli,
trzeba w tańcu głowę do kogoś przytulić,
ażeby mu pozostał we wspomnieniu długo
rytm tańca, kołysany perfumową smugą

i ów taniec, tańczony, gdy cały świat ginie,
pod rozgwieżdżonym niebem w obcej Palestynie,
gdzie ktoś — podmuchem zdarzeń porwany zawrotnym,
wirując, opadł przy kimś, kto także samotny.

Może wtedy zapomnieć da się odrobinę,
że trzeba codziennie wracać na zdarzeń margines,
dziergany gęsto smętnym tangiem poprzez skrzypce
w uchodźcze kawiarniane maje — czerwce — lipce,

których saksofon próżno krzykiem srebrnokretnym
szarpie odległe niebo, eter obojętny;
a niebo — czekać każe, siejąc zmrok spokojny
i nie chce łysnąć znakiem, że już koniec wojny.

III.

Więc cóż?! Somnabulicznie tańcem pleść bez przerwy
ornamenty wieczoru, opłatanie w nerwy?!
Aż znów w niedzielę — ranek w kruchcie tłumnie stanie
ze śpiewem patetycznym „...raccz nam wrócić Panie...”

(jak gdyby bez nas mógł nam Los coś wziąć, czy nadać)
i oto — jak się wezdmie nowa pseudoprawda.
A niebo? — Niebo milczy, dziwnie idylliczne
w stallagach — tu — i w lagrach, gdzieś w Rosji arktycznej,

gdzie tamci, śledząc mlecznych dróg trakty zawrotne,
nie mogą znaleźć drogi jednej, tej powrotnej...

Tutaj się słowa rwą i z wiersza wybiec naglą
i gonić tamtą prawdę — mroźną, szaro — siną,
że dla nas, dla wybuchu myśli tamci giną,
a my — w spleenach tuczymy patriotyczny szablon!

Nie mogę więcej pisać! Dzień był tak upalny...
zmęczył! A tamto — w każdą myśl się wkłada...
więc kończę ten dla Ciebie wiersz nieoficjalny.

Nowość!

BEATA OBERTYŃSKA

FAUSTYNA

Opowieść

Nakładem wydawnictwa „W Drodze”
w Jeruzolimie.

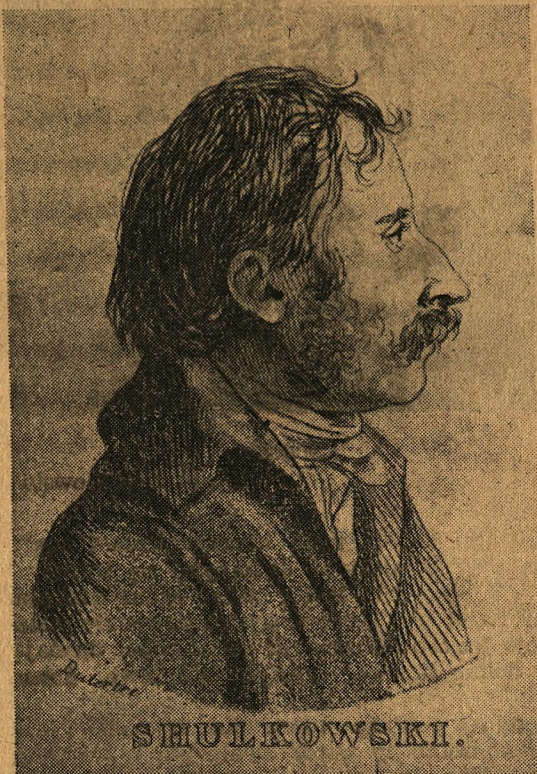
Cena 150 milsów.

J. O—SKI

JÓZEF SUŁKOWSKI

NIEZNANY, A JAKŻE BLISKI NAM BOHATER

Sułkowski jest jednym z tych popularnych naszych bohaterów, o których na ogół nie wiemy. Jakaś świetlana postać dzielnego żołnierza, który u boku Napoleona tragicznie ginie na piaskach Egiptu, gdzie w Kairze czy pod Piramidami. Tyle, lub mniej więcej tyle, dociera do świadomości ogółu lub pozostaje w pamięci z legendy o Sułkowskim.



Wobec tego jednak, że los powiódł nas drogami boju nieznanego bohatera, powstaje jakiś mus moralny przypomnienia sobie, choć obficie, tego, co o nim wiadomo, a czego nie wiadomo. Bo Sułkowski jest naszym „nieznanym bohaterem” może w najszerszym tego wyrażenia znaczeniu. Ale jakkolwiek mało jest znany i mało o nim wiadomo, przecież z tego, co po nim w pamięci ludzkiej i utrwalał się jej śladach pozostało, wskrzesić można łatwo postać dość niezwykłą i pociągającą.

Znak zapytania stoi u samego progu jego życia. Nieznana jest dokładna data jego urodzin. Najskrupulatniejszy jego biograf¹⁾ podaje tylko datę przybliżoną do jednego roku: 1770 lub 1771. Odchylenia innych źródeł są jeszcze większe. Zasiłona wstydliwej tajemnicy rzucana została również na osobę jego matki, której może sam nigdy nie znał. Był bowiem nieślubnym synem hrabiego Teodora Sułkowskiego, pułkownika armii austriackiej, i kobiety niskiego pochodzenia. Nie przysługuje mu więc tytuł księcia, przyznawany prawem kaduka, jak i przypisywany później, również przez nieporozumienie, stopień generała.

Nie wychowywał go ojciec, lecz zaopiekował się nim stryj i ojciec chrzestny zarazem, książę August Sułkowski z Rydzyny, ordynat, par angielski, grand hiszpański, kawaler maltański i t. d., człowiek ambitny, ale jeszcze bardziej próżny, ograniczony i wyzbyty poczucia godności narodowej. Ładna pożywka dla powstania w młodym wychowanku — jak to się dziś mówi językiem freudystów — kompleksu uposzczenia. A jednak Józef Sulima hr. Sułkowski stał się przeciwieństwem tego wszystkiego.

Od dzieciństwa przeznaczony zostaje do służby dyplomatycznej. Czas wolny od służby garnizonowej w rodzinnym pułku Sułkowskich poświęcony jest na zaprawę do nauk, dyplomacji i rzemiosła wojskowego. Wykazuje nad wiek żywą inteligencję i szczególne zdolności do języków. Pozostaje zawsze skupiony, małomówny i pomimo ćwiczeń cielesnych — szabej raczej kondycji fizycznej.

Liczył zaledwie 14 lat, gdy zaczął podróżować ze stryjem po wielkich dworach. Przebywa jakiś czas na dworze króla francuskiego Ludwika XVI, gdzie może się przyglądać rozkładowi dawnej monarchii francuskiej, którą wkrótce zmiecie Wielka Rewolucja. Przyglądał się też różnym bezecnostom, które działy się w jego własnym otoczeniu. Opiekun jego był na liście osób, pobierających pensję roczną od dworu petersburskiego.

Prawe serce młodego Józefa Sulimy-Sułkowskiego nie mogło się pogodzić z tym stanem rzeczy i w 16 roku życia postanawia zerwać ze środowiskiem, w którym musiał dotychczas żyć. Dochodzi coraz częściej do ostrych starć. Za wystąpienie przeciwko stryjowi zostaje wypędzony z domu i pozbawiony środków do życia. Ma możliwość ukorzenia się, ale nie robi kompromisu. Wstępuje do wojska polskiego i postanawia swe życie poświęcić pracy dla kraju, bo — jak mu wkłada w usta Żeromski — „Ojczyzna, to życie samo”. Wówczas też przejmując się hasłami rewolucji francuskiej.

Z Michałem Sokolnickim bierze udział w pierwszej wojnie polskiej przeciwko Rosji na Litwie i za czynny waleczny pod Zelwą zostaje odznaczony krzyżem „Virtuti Militari”. Ma zaledwie 22 lata, gdy w roku 1792 wal-

czy jako kapitan pułku Działyńskich i odznacza się pod Świsłoczą i Krzemieniem.

Po Targowicy Sułkowski idzie dobrowolnie na wygnanie. Nieznany bohater staje się nam coraz bliższy. Generał-porucznik Zabieło mianuje go w Stanisławowie pierwszym majorem i z listem polecającym wysyła do Francji, która wówczas najwcześniej wyzwoliła się z pęt dawnej monarchii absolutnej. W Polsce należał on do tych jeszcze nielicznych Jacobinów, przeciwko którym po wkroczeniu do Polski ogłosił wyprawę krzyżową król pruski, Fryderyk Wilhelm II, ostrzegając przed „francuskim demokratyzmem i zasadami podłej bandy, która stara się wszędzie zyskać sobie zwolenników i która znalazła tylu stronników w Polsce”. Do tej „bandy” zwolenników wolności należał i Sułkowski i musiał przeto raczej szukać schronienia zagranicą.

W II roku rewolucji przybywa do Paryża. Pomimo listów polecających posła francuskiego w Warszawie, natrafia na wielkie trudności przy dostaniu się do armii. Panuje tam właśnie kurs antypolski. Aby pokonać piętrzące się trudności, Sułkowski decyduje się na drastyczny krok. Żąda przyznania mu obywatelstwa francuskiego i ponoc otrzymuje odpowiednie papiery w urzędzie gminy paryskiej. Zostaje wreszcie przydzielony do misji nowego ambasadora francuskiego w Konstantynopolu w związku z organizowanym powstaniem w Polsce. Plany te rozbijają się jednak, a znajdujący się już we Włoszech, Sułkowski skierowany jest do Aleppo w Syrii. Tam miał czekać na instrukcje w sprawie dalszej, ważnej, a zupełnie już tajemniczej misji do Indii.

Jeszcze podczas pobytu w Warszawie zaczął się uczyć języka турецkiego. Było to po ukazaniu się w r. 1788 głośnej wówczas relacji z podróży Jana Potockiego na Wschód, dokonanej w r. 1784. Korzystając z wolnego czasu w Syrii, zagłębia się w studia języka arabskiego, a znał już — jak mówiono — wszystkie najważniejsze języki europejskie. Pomagał mu stary tłumacz i orientalista Venture, niedoszły, czy też domniemany teść Sułkowskiego. Nie obyła się bez arabskiej przygody, jeśli nie wręcz awantury.

Nasłani na niego — przez ówczesną piątą kolumnę — Arabowie chcą mu wydrzeć tajne papiery, z jakimi przyjechał. Aby je uratować, szuka schronienia w Konstantynopolu. Tam zastaje go wieść o Insurekcji Kościusz-

kowskiej. Przedziera się jako kurier w przebraniu kupca ormiańskiego przez Rumunię do ówczesnej Galicji, wioząc instrukcje dla Kościuski i Ignacego Potockiego, ale dociera do kraju za późno. Zastaje go tam wieść o klęsce maciejowickiej. Musi wracać do Francji. Przedziera się przez Rumunię, ówczesną Wołoszę, gdzie powstały skupienia wychodźstwa polskiego, i przez Węgry, natrafiając po drodze na duże trudności. Znałe to dzisiaj — uchodźcom polskim szlaki.

Do Paryża przywozi swą pierwszą większą pracę historyczną, napisaną jeszcze w Konstantynopolu p. t. „Rys historyczny i filozoficzny stanu przeszłego i teraźniejszego Polski”. Ostro w niej ze stanowiska zasady wolności ludu potępia ostatnie pokolenie, rządzące niepodległą Rzeczpospolitą. Władzom francuskim składa memoriał o sytuacji w Polsce i w Turcji, w którym snuje daleko idące plany, wówczas jednak mało realne. Dopiero dnia 1 maja 1796 r. przyjęty zostaje jako kapitan do armii francuskiej, walczącej we Włoszech pod dowództwem gen. Bonaparte. Nie dostaje komendy nad stałym oddziałem, ale ma raz po raz możliwość wyróżnić się, jako dowódca oddziałów rozpoznawczych przedniej straży. Pod Mantuą zwraca na siebie uwagę naczelnego wodza Francuzów i już w październiku zostaje jego osobistym adiutantem. Ma prawo noszenia pięknego piórpusza i białoczerwonej wstęgi adiutanckiej na ramieniu. Nie wzbija go to w dumę, uważa się bowiem tylko za jednego z 60 adiutantów, jakich miał Bonaparte do swej dyspozycji.

Adiutanci Bonaparte, to byli raczej oficerowie do specjalnych zleceń, i to zleceń bojowych. Z nich potem wybiera Napoleon swych marszałków. Zadania bojowe potrafił Sułkowski godzić z zainteresowaniami intelektualnymi. Z tych czasów bowiem datują jego „Rozważania na temat rewolucji francuskiej” i inne pisma. Jednocześnie „człowiek, który nie zna zdrady” — jak Sułkowskiego nazywa Żeromski — oddał rozpoznaje, mierzy i oblicza plany polityczne i wojskowe swego wodza, odznaczając się niepospolitym rozumem. Pomimo wielkiego patriotyzmu do legionów Dąbrowskiego nie wstępuje²⁾. Oddaje wszystkie swe siły na usługi Bonaparte, bo wie, że

²⁾ Uzasadnienie w artykule Adolfa Bocheńskiego „Aktualność Sułkowskiego i Dembińskiego” w nr. 16 „Naszych Drog” z 15. października 1941 r.

U ŹRÓDEŁ EGIPTOLOGII

Publications de la Société Royale de Géographie d'Egypte. Tables de la description de l'Egypte suivies d'une Bibliographie sur l'expédition française de Bonaparte par H. Munier. Kair, 1943. Str. X i 382 i 2 nl.

Świeżo z pod prasy drukarskiej wyszła książka, która mogłaby wznosić dyskusję na temat roli, twórczej wojny i pokoju. Jest to nowy tom w serii wydawnictw Królewskiego Egipskiego Towarzystwa Geograficznego. Autorem jest sekretarz generalny Towarzystwa, świetny bibliograf i historyk, z zamiłowaniem również zbieracz etnograf i muzealista. Na pierwszy rzut oka te „Tablice Opisu Egiptu z bibliografią ekspedycji francuskiej Bonaparte” wydają się czymś bardzo suchym i interesującym tylko ciasne grono specjalistów. Nie mniej jest to praca bardzo znajmienna i budząca zupełnie aktualne refleksje.

Dotyczy ona okresu z przed dokładnie 150 lat, okresu wojny i najazdu Bonaparte na Egipt, okresu, który pozostawił słabe ślady polityczne, ale który ze względu na naukę o tym kraju i na wpływ kultury francuskiej w Egipcie odegrał pierwszorzędą rolę Bonaparte pod hasłami wolnościowymi walczył z panowaniem tureckim w Egipcie a także z miejscowymi władcami. I oto badaniom nad sukcesami najeźdźcy, które utorowały zresztą drogę nowej dynastii, obecnie panującej, patronuje dziś król egipski, Faruk I, z którego subwencji wydawane są liczne publikacje Towarzystwa Geograficznego.

Podczas tej wyprawy na Egipt w latach 1798—1801 żołnierzy francuski znośli największe trudy i poświęcenia. Na samym początku kampanii, w kilkunastodniowym marszu z Aleksandrii do Kairu, połączonym z potyczkami i walkami z nieprzyjacielem, armia dziesięciokrotnie była przez klimat, choroby, pragnienie i niedostatek żywności zdzierana z siebie ciężkie mundury europejskie, narażając się na porażenie słoneczne. Porzucali ze zmęczenia sprzęt i zapasy żywności, nie znajdując na miejscu ani zdatnego dla siebie jedzenia, ani niezbędnej ilości wody. Przez szmatki płótna ssali wilgotną zaledwie gleinę dla ugасzenia niezmównego pragnienia. Mniej wytrzymali z rozpacz strzelali sobie w łeb, lub topili się w nurtach Nilu. Taki był posiew śmierci, spowodowany brakiem należytego przygotowania do walki w tropikalnych warunkach. Jednak były zwycięstwa i pozostała po nich wielka legenda. Nie dały one władzy nad krajem na stałe, ale dały Francuzom na dłuższy czas rząd dusz, którego ślady przetrwały do dziś dnia.

Te właśnie zwycięstwa umożliwiły bowiem uczynionym i badaczom, idącym za wojskiem, pozyskanie wielkich odkryć o nie umniejszonej dotychczas wartości. Zapuszczali się Francuzi bodaj pierwszy raz w dziejach nowożytnych w głąb tego nieprzychylnie im usposobionego kraju, aby zaspokoić swe umiłowanie wiedzy i pęd do poszukiwania nowych prawd. Czynili to, na-

„wcześniej czy później pójdzie on na północ — musi pójść, — żeby zabić lody, które Polskę pokryły”.

O Sułkowskim mówiono wyraźnie: „Gdyby zginął Bonaparte, w Tobie ma Francja naczelnego wodza” (Opinia członka dyrektoriatu Carnota). On miał tylko sprawę Polski na myśli i dla tego można mu było w usta włożyć słowa: „Gdyby w istocie zdradził (Napoleon) swiętą sprawę... nie kto inny, tylko ja (Sułkowski), wydrę mu z rąk sceptrum... stanę sam na czele rewolucji... bo we mnie nie ma zdrady”. Wierny był sprawie, nie ludziom.

Tymczasem szawę pozyskały Sułkowskiemu „Listy historyczne” o wyprawie włoskiej, a po zaniechaniu desantu na Anglię, zjednały mu też czynny udział w przygotowaniach Bonaparte do wyprawy egipskiej. Jest potem jej wybitnym uczestnikiem. Dowodzi oddziałem podczas zdobywania stolicy Malty, La Valette, w dniu 10 czerwca 1798 r. Opanowanie Malty otwiera wolną drogę do Aleksandrii, gdzie ląduje wraz z francuską armią ekspedycyjną 1 lipca i bierze udział w zdobyciu miasta z rąk tureckich. Otrzymuje w związku z tym nominację na dowódcę szwadronu. Podczas słynnej bitwy pod piramidami, stoczonej już 21 lipca tegoż roku, zamieszany zostaje w walki z nacierającą konną Mameluków i w starciu wręcz pokonywa olbrzymiego jeźdźcę, który zagrażał jego życiu. W pogoni za ustępującymi wojskami tureckimi do Syrii ściga je aż do Salhejeh, gdzie w ostrych walkach z tylną strażą nieprzyjaciela odnosi liczne rany. Za zasługi swe awansowany zostaje na szefa brygady, z czym związany jest stopień pułkownika. W tej naprawdę błyskawicznej wojnie wszystkie wyższe stopnie zdobywa na polu bitwy.

Rozpoczyna się kilkumiesięczny okres rekonwalescencji, ostatni w jego życiu. Spędza go niezwykle czynnie. Jeszcze cały w bandażach, bierze dnia 23 sierpnia 1798 r. udział w pierwszym posiedzeniu Instytutu Egipskiego, powołanego do życia przez Bonaparte dla prowadzenia badań naukowych nad Egiptem. W niespełna dwa tygodnie później przekłada uczony opis drogi z Kairu do Salhejeh, publikowany potem po raz pierwszy w „Dekadzie Egipskiej”, po raz drugi w „Zbiorze rozpraw”, opracowanych podczas ekspedycji. W kilka dni później zgłasza na posiedzeniu Instytutu swe wykopaliska posęgu Lzdy i innych zabytków. Równocześnie rozpoczyna pisanie niedokończonych „Notatek o Egipcie”, których pierwszą część stanowi „List o Malcie”. Wszystko to pomimo ran, tu, pod gorącym niebem kairskim.

Razem z innymi wyższymi oficerami armii Bonaparte pogrąża się w pracy naukowej, aby zatrzeć wrażenie po klęsce, odniesionej przez flotę francuską pod Abukirem, niedaleko Aleksandrii, która w dniach 1 i 2 sierpnia 1798 została doszczętnie rozbita przez angielskiego admirała Nelsona. Przygotowuje się też do najszybszego powrotu do służby czynnej i udziału w projektowanej wyprawie do Syrii. Gdy rany wytrącają mu broń z ręki, szermierka piórem zaprowadza go na szczyty kariery naukowej.

Natomiast mgłą zasnuta pozostaje sprawa, czy, kiedy i jaka kobieta odegrała większą rolę w jego życiu? On sam dochował największej dyskrekcji. Postać Agnieszki Gonzałgi, wysnuta przez Żeromskiego, wydaje się dziełem poetyckiej wyobraźni. Małżeństwo z córką Ventura jest uważane za mocno zachwianą przez krytykę wersję, opartą na nieporozumieniu. Znowu wracamy w dziedzinę nie wiadomych.

Tymczasem w Kairze, gdzie mieściła się Kwatery Główna Bonaparte i centralna siedziba jego ekspedycji naukowej, wybucha 21 października 1798 r. bunt ludności. Pierwszego już dnia ginie francuski gen. Dupuy z rąk tłumy i podburzonych przez wrogów Francji Mameluków, żołnierzy rekrutowanych z niewolników, przeważnie czarnoskórych, należących do różnych paszów miejscowych.

Drugiego dnia o świcie, pomimo niezażożonych ran, Józef Sułkowski podejmuje się dokonania rekonesansu. Odpiera z grupą towarzyszących mu ordynansów oddział Mameluków, który chciał wdrzeć się od północy do miasta. Chcąc wrócić do Kairu, kieruje się do Bab-el-Nasr, Bramy Zwycięstwa, gdy nagle, przejeżdżając koło warownego meczetu Daaher, dostaje się w rozniamiętnioną ciżbę. W mgnieniu oka staje się łatwym łupem rozsłazłej tłuszczy. Kilkanaście jest wersji, nie raz sprzecznych ze sobą, tego, jaki naprawdę był przebieg śmierci Sułkowskiego. Rozbieżności te rzucają znowu cień wątpliwości na ostatni, końcowy moment jego życia. I cień ten ciągnie się długo po jego śmierci na wszystko, co się łączy z upamiętnieniem jego postaci. Jakże bliski już nam bohater znowu staje się nieznany.

Następnego dnia po śmierci Sułkowskiego bunt został stłumiony. Nie znalazł on dostatecznego oparcia wśród ludności egipskiej. Doszło do porozumienia między Napoleonem a miejscowymi paszami i szekami. Ale ten krótki wstrząs przerwał w sposób najbardziej przypadkowy dnia 22 października 1798 r. nie życia, które tak pięknie rozkwitało i tyle budziło jeszcze nadziei. Nić niedokończonego życia nieznanego bohatera.

Jan Jordan

¹⁾ Adam Skalkowski, „Les Polonais en Egypte” Cracovie — G. Gebethner et C^{ie} — 1910. Str. XCVI plus 485 plus 3 nl.

Z PRASY OBCEJ OPINIE ANGIELSKIE

Diuga wojna na Pacyfiku

Amerykański tygodnik „Life” poświęca w numerze z dn. 16 sierpnia artykuł wstępny perspektywom wojny na Pacyfiku. Pismo zapowiada tam jeszcze długą wojnę.

Jest rzeczą na czasie, — powiedział w ub. tygodniu minister wojny Stimson, — zrobić zestawienie, aby zobaczyć, jak wielki jeszcze jest potrzebny wysiłek i jak należy go zastosować. Kiedy to mówić, nowiny o historycznych zwycięstwach tłumnie tłoczyły się wokół niego: Orzeł, Biełgorod, Katania... „Mimo to jednak wielce szanowny minister wojny kazał nam nie fetować tych zwycięstw, ale raczej uświadomić sobie fakt, że bierzemy udział w straszliwej walce, której jak dotąd nie możemy dostrzec końca. Punkt ten wypadłby silnie, gdyby położyl większy nacisk na wojnę na Pacyfiku. Pomiędzy dobrymi nowinami z Europy przyszły i nowiny z Pacyfiku, że nasi desperacy żołnierze w dzungli zdobyli nareszcie Munde. Ale podczas gdy przypadkowi czytelnicy potraktowali tę wiadomość jako „dobrą”, realisci mają zastrzeżenia. Możemy całą debatę zawrzeć w krótkiej statystyce. Guadalcanal, na którym lądowaliśmy dnia 7 września 1942 roku, jest w odległości około 3000 mil od Tokio. W czasie całego roku desperackiej walki posunęliśmy się z Guadalcanalu na skraj Nowej Gwinei, a więc o odległość w przybliżeniu 200 mil. Przyjmując, że w przyszłości będziemy robili równie dobre postępy, będziemy mogli dokonać krwawo okupionego lądowania w Tokio, za lat 14, t.j. w lecie 1957 roku, poczem będziemy mogli przystąpić do zdobywania Japonii”.

Należy wziąć pod uwagę jeszcze jedną okoliczność: „Zewnętrzne Imperium (t.j. to, co Japoncy zdobyli w ciągu pierwszego roku działań wojennych) czyni z Japonii prawdopodobnie najbogatsze państwo na świecie, jeśli idzie o bogactwa naturalne: jest to okoliczność ważna ze strategicznego punktu widzenia, ponieważ dostarcza ono ropy, cyny i kauczuku, a mimo to nie należy nigdy zapominać, że wojna z Zewnętrznym Imperium nie jest jeszcze wojną z Japonią”.

Są ludzie, którzy twierdzą, że opór Japonii będzie można złamać drogą bombardowań powietrznych. Autor artykułu nie jest tego zdania. Wprawdzie miasta japońskie stanowią bardzo wdzieczny cel dla bombardowań, ale nie należy zapominać, że przemysł japoński jest rozproszony po całym kraju, i to przeważnie w małych zakładach, oraz że w przekonananiu ludności wojna obecna jest świętą wojną, trudno więc przypuścić, aby bombardowania zlamaly ją moralnie. Trzeba wreszcie pamiętać, że Japonia jest także mocarstwem morskim”.

Postawia więc tylko inwazję. Istnieją cztery możliwe drogi inwazji: jedna — przez Salomony, Karoliny i Mariany, druga — przez Filipiny (zwolennikiem wybrania tej drogi jest gen. Mac Arthur), trzecia — poprzez Birmę do Chin i stamtąd do Korei, wreszcie czwarta — od północy, z wysp Aleuckich. Wszystkie te jednak drogi są trudne i bardzo długie, wymagają one utrzymania linii zaopatrzenia długości 5000 mil. „A jedyna szybsza droga do serca Japonii prowadzi przez Rosję, której bazy na Pacyfiku zagrażają jej wybrzeżom. Wydaje się jednak, że jest mało nadziei na najbliższą przyszłość, abyśmy mogli z nich korzystać. Jednym z powodów jest, iż Japonia zgromadziła w Mandżurii wielkie siły, gotowe do skoku na Rosję”.

Wniosek: „Nie ma żadnej krótkiej drogi do pokoju na Pacyfiku, — jest to zadanie, które będzie wymagało znacznej części wysiłków całego pokolenia. Wszelako nie możemy go przeprowadzić bez pomocy Azji. A to oznacza Chin, A to oznacza politykę chińską, którą wiązała nas z tym wspaniałym narodem, stawiającym opór Japonii od sześciu krwawych lat. Istnieją cztery drogi wojenne do Japonii. Ale politycznie wszystkie one prowadzą poprzez Czunking”.

Wielka Brytania a Europa

Londyński tygodnik konserwatywny „The Observer” drukuje w numerze z dn. 27 czerwca interesujący artykuł wstępny, zatytułowany „Europa a my”, który przytaczamy tutaj, jako charakterystyczny przykład prądów, nurtujących opinie angielską. Artykuł ten zaczyna się od stwierdzenia, że prasa brytyjska przeoczyła doniosłość kryzysu w łonie rządu jugosłowiańskiego i nie zwróciła uwagi na takie zjawiska, jak trudności scharmonizowania akcji rządu greckiego z oporem w kraju, puscie się stosunków polsko-czeskich, antagonizmy między rządem czeskim a autonomizacyjnymi ruchami emigrantów słowackich i sudeckich zarówno w Anglii, jak i w Stanach Zjednoczonych. Chce się też zbyt łatwo ciągle nieporozumienia między członkami Francuskiego Komitetu Narodowego, uważając, że jest to „drobiazg polityczny”. W rzeczywistości — czytamy dalej — są to rzeczy ważne także i dla Wielkiej Brytanii. Jeśli pozwoli się, aby sprawy te i dalej zaogniały się, przyjdzie „polityczne zaćmienie emigracyjnych rządów i władz, znajdujących się w Londynie... Doprowadzi to do zniszczenia mostów między Wielką Brytanią a kontynentalną Europą, co pociągnie za sobą nieobliczalne skutki. Nie jest rzeczą ani uczciwą, ani pożyteczną, oskarżać o ten stan rzeczy rządy emigracyjne... Winny jest brytyjski Foreign Office. Nigdy nie doceniał on znaczenia i historycznej wagi faktu, że rządy legalne ośmiu krajów europejskich, jak również wybitni przedstawiciele polityczni innych krajów znajdują się w Londynie. Gdy ci mężowie stanu zajmą należne im stanowiska kierownicze, mogą odegrać nader ważną rolę w zjednoczeniu Europy”.

Te ważną rolę mogą oni odegrać — zdaniem „Observera” — nie jako członkowie rządów państw, okupowanych przez Niemcy. Jako rządy będą oni dążyli do przywrócenia stanu z przed 1939 roku, który coraz bardziej staje się niemożliwy do osiągnięcia. W tym charakterze zresztą są oni skazani w znacznej mierze na jałowe spory.

Wielka rola historyczna, jaką ci ludzie mogą odegrać, tkwi — wedle autora — gdzie indziej. Oto ludzie ci posiadają głęboką znajomość swych krajów i Europy i są jedynymi przedstawicielami tych krajów, byli oni stale w kontakcie z „ideami, jakie zapanują na świecie po tej wojnie”. Powinni oni wejść w skład tej „Rady Europy”, o której wspominał Churchill. Rada ta powinna powstać przed ukończeniem wojny, winna wyrosnąć z wojny, jako instytucja organiczna.

Gdzie indziej, jak nie w Londynie, który od trzech lat jest cytaładą Europy, należy taką Radę stworzyć? A czyż nie powinna ona składać się właśnie z tych Europejskich Narodów? Tylko Wielka Brytania, jedyny kraj, który sam ocalał z „rodziny europejskiej”, może tę Radę powołać do życia. „Nigdy już — oświadczył kilka miesięcy temu brytyjski minister spraw zagranicznych przy oklaskach Parlamentu — nie odwrócimy się tyłem do Europy”. „Czyż nie zdaje on sobie sprawy z tego — pisze „Observer”, — że w rzeczywistości stale odwracamy się tyłem do Europy, i to nawet wtedy, gdy Europa jest wśród nas”.

Układ sił politycznych w Wielkiej Brytanii

Polityka powojenna Wielkiej Brytanii zależna będzie od nowych wyborów do Parlamentu. Obecny Parlament wybrany został przed ośmiu laty, w roku 1935. Oczywiście, od tego czasu nastąpiły poważne zmiany w proporcjach sił poszczególnych stronnictw politycznych. Każdej wojnie towarzyszy radykalizacja opinii publicznej. Radykalizuje się ona także i w Anglii, jak o tym świadczy ankietka Brytyjskiego Instytutu Opinii Publicznej, której wyniki drukuje londyńska „News Chronicle” z dnia 26 czerwca. Instytut ten bada nastroje społeczeństwa brytyjskiego drogą specjalnych ankiet, obejmując nimi grono osób, które jest wystarczająco reprezentatywne dla odzwierciedlenia całości opinii publicznej. Na pytanie, „Jak będziesz głosował podczas wyborów”, 38% zapytanych odpowiedziało, iż będą głosowali na kandydatów Labour Party, 25% — na kandydatów Partii Konserwatywnej, 9% — na kandydatów Partii Liberalnej. W zestawieniu z danymi obecnego składu Parlamentu wygląda to w procentach, jak następuje:

	Stan obecny	Wynik ankiety
Labour Party	27	38
Konserwatyści	57	25
Liberałowie	2,5	9
Komuniści	0,16	3

Reszta wypada na narodowych radykałów, niezależnych „nacjonalistów” etc. Ankietka nie obejmowała wojskowych, lecz tylko ludność cywilną. Obserwacje dodatkowe wskazują, że kobiety na ogół są bardziej konserwatywne. Ludzie w wieku od lat 21 do 29 (a więc ci, którzy po wojnie po raz pierwszy pójdą do urn wyborczych), przeważnie głosują na nowe partie, takie jak Common Wealth czy inne, unikając popierania starych stronnictw politycznych.

Ta sama „News Chronicle” z dnia 1 lipca przynosi wyniki następnej ankiety Instytutu, poświęconej stosunkowi do bieżących zagadnień politycznych. Okazuje się z niej, że politykę rządu w sprawie prowadzenia wojny popiera 75% zapytanych, zaś Churchilla osobiście — aż 83%.

Co zrobić z Włochami po wojnie?

Ta sama „News Chronicle” z dnia 23 czerwca przytacza wyniki ankiety Instytutu na pytanie: „Jeśli Włochy zostaną wytrącone z wojny, co powinni uczynić z nimi Aliaanci?” Wśród odpowiadających 3% odpowiedziało się za pozostawieniem tymczasowo rządu faszystowskiego (ankieta została rozpisana jeszcze przed upadkiem Mussoliniego), 28% odpowiadających opowiedziało się za wprowadzeniem we Włoszech rządu ant-faszystowskiego, a znaczna większość, bo 69% odpowiadających — za „wojskową administracją okupacyjną w pokonanych Włoszech”.

Problem ropy w Niemczech

Jak wygląda problem ropy w Niemczech? Na pytanie to stara się odpowiedzieć londyński tygodnik „The Economist” w numerze z dn. 3 lipca b.r. Produkcja ropy naturalnej i syntetycznej — dowodzi autor — w całej okupowanej przez Niemcy Europie w r. 1941 nie przekraczała 12 milionów ton, obecnie może przekraczać te cyfry. Złożyło się na to szereg czynników: w latach 1941-42 powstrzymano w Rumunii spadek wydobycia, wydobycie ropy w Polsce jest obecnie prawdopodobnie większe niż przed wojną. Ogromnie wzrosło wydobycie w Austrii: z 60.000 ton w r. 1938 do 750.000 ton w r. 1942. Nowe wiercenia rozpoczęto w Albanii. 150.000 ton rocznie dostarcza Estonia. Poza tym należy wziąć pod uwagę niemiecką produkcję benzyny syntetycznej. Na ogół wydobycie wszędzie znacznie wzrosło.

Wzrosło jednak i zapotrzebowanie. Po raz pierwszy niemiecka machina wojenna odczuła silny brak płynnego paliwa po nieudanej kampanii rosyjskiej 1941 r., która zużyła wszystkie zapasy niemieckie. Odbiło się to zwłaszcza na transporcie: „Fotografie ze wschodniego frontu nie pokazują już samochodów ciężarowych. Zamiast nich gazety są pełne fotografii, pokazujących niezliczone kolumny artylerii, ciągnięjone przez konie, wozów, i t. zw. wózków „panie” (podwód), małych wozów, wywodzących się z Polski i z Rosji, zwykłe zaprzężonych w jednego konia i dobrze przystosowanych do warunków kraju, pozbawionego dróg”.

W związku z tymi trudnościami z 6.200.000 pojazdów mechanicznych, którymi dysponowała przed wojną okupowana przez Niemcy Europa, znaczna większość stoi bezużytecznie, częściowo zaś poruszana jest przy pomocy rozmaitego rodzaju paliw zastępczych.

Mimo tych trudności nie można jeszcze mówić, jakoby Niemcy z powodu braku ropy nie byli zdolni do przeprowadzenia jakiegś większej kampanii. Najwięcej ropy zużywa bowiem nie front, ale środki transportu i przemysł na tyłach. Tam też brak ropy daje się odczuć dużo dotkliwiej. Jedynie na froncie północno-afrykańskim, gdzie nie można było użyć żywej siły pociągowej i gdzie dowód przez morze był utrudniony, dał się odczuć na froncie po stronie niemieckiej brak paliwa.

Autor uważa, że w tej dziedzinie sytuacja Niemców w r. 1943 jest lepsza niż w r. 1918. Mogłyby ją zmienić tylko poważne bombardowania Rumunii (artykuł pisany był jeszcze przed nalotem amerykańskich Liberatorów na Ploeszt), okolic Hannoweru, fabryk Leuna, oraz Sudetów i Górnej Śląska, które są głównymi producentami benzyny syntetycznej.

Radio pierwsze oddało hołd pamięci gen. Sikorskiego. Przemówienie Vernon Bartleta, niezależnego posła do Izby Gmin i współpracownika liberalnego dziennika londyńskiego „News Chronicle”, zakończono w BBC odegraniem polskiego hymnu narodowego. Vernon Bartlett powiedział: „Gdyby ktoś poprosił mnie wczoraj o nazwanie najwybitniejszych postaci politycznych Narodów Zjednoczonych, wymieniałbym gen. Sikorskiego pośród pierwszych sześciu. Był on nie tylko politykiem narodowym, premierem swego kraju, naczelnym wodzem Polskich Sił Zbrojnych, ale podobnie jak czeski prezydent Benes był także europejskim mężem stanu.

Ten spokojny, siwawy człowiek interesował się w gruncie rzeczy bardziej wojskiem niż polityką, choć jego wiara w demokrację nie zachwiała się nigdy od chwili, gdy obrano go przed 40 laty prezesem Związku Demokratycznego Studentów Uniwersytetu Lwowskiego. Gdy stało się jasnym, że nie uratuje Polski od klęski wojkowej, udał się do Francji, aby zorganizować nową armię polską. Gdy katastrofa wojskowa dosięgła Francji, poprosił Churchilla, aby mu umożliwił wydobycie wojsk polskich do Wielkiej Brytanii. Było to w czerwcu 1940 r., gdy miliony ludzi w tułach państw były zdania, że Wielka Brytania, a w końcu także i Imperium Brytyjskie zostaną pokonane. Od tego czasu Polska Armia walczyła w północnej Afryce, polscy lotnicy pomagali w obronie Wielkiej Brytanii, a polscy marynarze współdziałali w zaopatrywaniu naszej wyspy. Takich rzeczy nie wolno zapomnieć. Wyglądało na to, jak gdyby o nich zapomniano podczas owej nieśpiesznej kontrowersji między Polakami a Rosjanami...”

Jeszcze wyraźniej podkreśla Vernon Bartlett powyższy motyw w swym artykule p. t. „The Allies have lost a Soldier and a Statesman” w „News Chronicle” z dn. 6 lipca b. r.:

„Churchill, gdy usłyszał tę wiadomość, napewno przypomniał sobie owe pamiętne dni czerwca 1940 r., kiedy to armie francuskie załamały się i gdy wydawało się, że Anglia stoi sama. W owym miesiącu gen. Sikorski przeniósł swą armię i swe lotnictwo do Anglii. Gdyby nie ta jego decyzja, nie byłoby kontyngentów polskich dla obrony Tobruku i eskadr polskich dla obrony Anglii. Tę wierność przymierzu angielsko-polskiemu w czasie gdy Wielka Brytania była tak bliska klęski, zapamiętamy z wdzięcznością”.

Byli tacy pośród nas, którzy zwątpili w przyszłość Anglików, gdy tak wiele przykrzych słów usłyszeliśmy po jawnym wybuchu zatargu polsko-rosyjskiego. Mówiono o perfidii angielskiej, — stary, oklepany slogan półinteligentów, których nie stać na samodzielne myślenie. Był to objaw niedojrzałości naszej myśli politycznej, która zbyt łatwo się zapala i zbyt szybko gaśnie. Nie rozumieliśmy — i obawiam się, że nie rozumiemy do dziś dnia — iż oportunizm polityczny Anglii, — pływający dość płytko po powierzchni wydarzeń, — nie musi koniecznie iść w tym samym kierunku, co głębiny nurt myśli politycznej i rozumu narodu.

Przeglądając stos wycinków prasowych o gen. Sikorskim, zdajemy sobie sprawę nagle, jak serdecznie — pod maską chłodnej objętości — myślą Anglicy o Polsce. Wiedzą o wszystkim, ale pamiętają też o wszystkim. Weźmy artykuł wstępny „Timesa” z dn. 6 lipca b. r.:

„Był uosobieniem męstwa, samozaparcia i patriotyzmu narodu, który choć polityce przez przytaczający zmechanizowany atak i poddany najbardziej okrutnym, materialnym i moralnym prześladowaniom, jakie zosiława tyrania może wymyśleć, nie stracił nigdy wiary i odwagi. Gdy ofiarował pozostającą armię polską Churchillowi podczas spotkania w dn. 19 czerwca 1940 r., w najczarniejszej godzinie europejskiej demokracji, nie było to czołowym gestem. Zaden Polak nie przyczynił się bardziej od gen. Sikorskiego do wydobycia polskich żołnierzy i lotników z Francji i Syrii oraz do stworzenia siły zbrojnej, małej w liczbach, ale wielkiej duchem. Za wspaniałą służbę polskich eskadr R.A.F.-u podczas i po „Battle of Britain”, za sprawną dzielność małej, ale walecznej polskiej marynarki wojennej; za stworzenie nowej armii polskiej, która w Wielkiej Brytanii i na Środkowym Wschodzie czeka na znak do ataku, za to wszystko są Zjednoczone Narody Jego i Polski dłużnikami”.

To nie jest zwykła ocena. Tak chłodny i dostrajny „Times” nie pisze często.

„Daily Herald”, organ „Labour Party”, pisał dn. 6 lipca b. r.:

„Zgon gen. Sikorskiego jest ciężkim ciosem nie tylko dla Polski, ale i dla wszystkich Narodów Sprzymierzonych. Dla Polaków jest to strata katastrofą. Gen. Sikorski stał o niebo wyżej ponad wszystkimi innymi polskimi przywódcami. Był zarazem symbolem i twórcą oporu narodowego. Dla nas w Anglii wyrasta jego wielka postać z owych ciemnych dni 1939 i 1940 r. Gdy po klęsce — w której nie miał udziału, ani odpowiedzialności — armia polska została zniszczona a jej rząd się rozlatywał, Sikorski nalegał, aby dalej walczyć i stworzył nową armię z Polaków, którzy znaleźli się poza granicami kraju. Był pewnym przykładem w naszej najczarniejszej godzinie. Oddajemy hołd jego pamięci”.

„Czym różni się mąż stanu od polityka, a wielki żołnierz od wysokiego oficera? W czasie mego życia zawodowego, które zetknęło mnie z wielkimi miarami i żołnierzami — od Bismarcka do marszałka Focha i od Clemenceau do Winstona Churchilla — zadawałem sobie często to pytanie” — pisze Wickham Steed w katolickim „Weekly Review”. „Odpowiem, że różnica leży w większym zapasie sił, w głębiej sięgającym zmyśle spostrzegawczym, w umiejętności dalszego przewidywania i głównie w zdecydowanym umiarkowaniu. Mierzony tymi miarami, był gen. Sikorski zarówno mężem stanu, jak i wielkim żołnierzem. Posiadał zdolność męża stanu wyrastania ponad wydarzenia i opanowywania ich. I umiał jak wielki żołnierz ocenić decydującą wagę czynników moralnych w sprawach wojskowych”.

Prof. W. J. Rose w konserwatywnym tygodniku „Spectator”, pisze:

„Podczas czterech krytycznych lat, które są poza nami, Sikorski okazał niezachwianą lojalność dla sprawy Sprzymierzonych, głębokie zrozumienie dla konieczności zjednoczonego frontu oraz gotowość do zaryzykowania swego stanowiska pośród Polaków, byle tylko ten front uczynić skutecznym. Mam na myśli jego gotowość zapomnieć przeszłości, wyrażoną dwa lata temu po ataku

Niemiec na Rosję, celem wspólnej akcji przeciw armiom niemieckim. Wyrażenie tej gotowości nie było łatwe, biorąc pod uwagę to, co Polacy wycierpieli z rąk sowieckich, zarówno we własnym kraju, jak i gdzie indziej. Jak wiadomo, jego rodacy krytykowali go za to ostro. Stracił niektórych kolegów Gabinetu i długo starać się musiał o poparcie kraju. Jest rzeczą sporną, po której stronie była racja. Czy mieli ją ci, którzy twierdzili, że ich premier powinien być domagać się bardziej wyraźnych gwarancji Moskwy, czy też ci, którzy są zdania, że owe gwarancje nie byłyby wiele warte. Jedna rzecz jest niesporna: gdyby Polacy nie doszli wówczas do porozumienia z ZSRR, wszystko wyglądałoby znacznie gorzej, zarówno dla ich własnej sprawy, jak i dla Sprzymierzonych, nie mówiąc o pomocy, której udzielono setkom tysięcy Polaków, rozproszonych po ziemiach sowieckich. Z końcem kwietnia b. r. te dobre stosunki, które istniały przez 20 miesięcy, zostają zerwane przez Moskwę. Ktośkolwiek ponosi za to winę, nie jest nim gen. Sikorski...”

Fakt podziwu jednak nie przesłania Anglikom obrazu politycznej rzeczywistości.

W ogólnych, ale niemniej wyraźnych słowach omawia „Times” konsekwencje polityczne zgonu gen. Sikorskiego, w wyżej cytowanym artykule:

„Głęboko nienawidził materialistyczną filozofię polityczną czasów współczesnych. Ale nie sympatyzował nigdy z tymi z pośród swych rodaków, którzy wierzyli, iż można oprzeć się totalizmowi, naśladowując go, i nie popierać zamiarów, sprzecznych z polityczną i geograficzną rzeczywistością. Zarówno ze względów politycznych, jak i wojskowych, jest jego śmierć katastrofą bez miary. Wielkie nadzieje przywiązywano do wizyty gen. Sikorskiego w armii polskiej i u dowódców Sprzymierzonych na Środkowym Wschodzie”.

Powyższe głosy są tylko ułamkiem, bardzo drobnym ułamkiem tego, co o gen. Sikorskim napisano od chwili jego śmierci. W ciągu dziesięciu dni od jego zgonu naliczyłem w prasie angielskiej 540 artykułów, notatek, komunikatów, reportaży, wzmianek i t. p., nie licząc tych, które zajmują się kryzysem rządowym, powstającym na skutek jego zgonu. Dają one jednak dość wierny przekrój myśli, jakie przeszły przez głowy Anglików, gdy doszła ich wiadomość o tragicznym wypadku, który zakończył życie gen. Sikorskiego u skał Gibraltaru.

Anglia posiada w polityce system dwupartyjny. To znaczy, że zasadniczo tylko dwie partie przeciwstawiają się sobie w parlamencie i w kraju. Obecnie tymi partiami są: Patria Konserwatywna i Patria Pracy. Dawniej byli konserwatyści i liberałowie (torysi i whigowie). W praktyce istnieją wprawdzie obok tych dwu partii jeszcze inne ugrupowania niezależne, ale są one tak nieliczne, że nie mają wpływu na równowagę sił tych dwóch wielkich stronnictw. Jeśli dochodzi do głosu, jak n.p. liberałowie, Independent Labour Party, Common Wealth i t.p., to jedynie z powodu tej niezrozumiałości dla „cwaniaka” z kontynentu tele-rancji, tak znaniejszej dla Anglii.

Te dwie, rządzące dziś Anglią partie odbyły w maju i czerwcu swe kongresy. Kongres Labour Party jest zjazdem, który co roku na Zielone Święta ustala politykę partyjną. Naczelne władze partii są zobowiązane do przestrzegania uchwał zjazdu. Kongres partii konserwatywnej był pierwszym od sześciu lat, a uchwały jego mają charakter doradczy. Wskazują kierunek, decyzyjną jednak zależą od władz partyjnych. Tegoroczny zjazd nie wnosił nowych pierwiastków do angielskiej myśli politycznej, był jednak wyrazem prądów, nurtujących Anglię: świadomości, że żyjemy w okresie głęboko sięgających przemian. Ciekawym i znaczącym objawem było, że konserwatyści znacznie wyraźniej od labourystów podkreślali swą świadomość tych przemian. Może dlatego, że Labour Party miała na agendzie zbyt wiele spraw politycznych, może jednak dlatego, że konserwatyści, ufnij w swą siłę, od lat zaniebdywali aspekt społeczny polityki i byli w pewnym sensie „à la recherche du temps perdu”. Ta niepewność siebie konserwatystów znalazła ciekawą ilustrację w oświadczeniach o powojennej polityce partyjnej. Kongres Labour Party zdecydowanie wypowiedział się przeciw utrzymaniu koalicji rządowej po wojnie, a ministrowie labourystów musieli dawać partii w tej sprawie specjalne zapewnienie. Natomiast Eden apelował do swych konserwatywnych kolegów o utrzymanie jedności narodowej, gdyż problemy powojenne będą co najmniej tak samo ważne i tak samo trudne, jak problemy wojenne.

Konserwatyści pilnie nadrabiali „utracony czas”. Przy sprzeciwie zaledwie sześciu głosów na ponad tysiąc uchwalono rezolucję, zalecającą raport Beveridge’a — owego „nieświadomego torysa”, jak go określili pewien uczestnik kongresu. Uznając instytucję „Public School” jako doskonały instrument wychowawczy, zaleca kongres odpowiednie reformy, które mają umożliwić łatwiejszy dostęp dla zdolnych dzieci. Public School nie powinna być przywilejem dzieci bogatych rodziców. Zalecono również zmianę systemu, według którego dobierało się konserwatywnych posłów parlamentarnych w tym kierunku, aby umożliwić także rojnikom kandydowanie z ramienia partii konserwatywnej. Ważną rezolucją była również uchwała, wzywająca do utrzymania służby wojskowej po wojnie. Ale ta rezolucja ma już raczej charakter polityczny niż społeczny.

W kongresie Labour Party akcenty społeczne ginęły w rozgardiaszu politycznym. Ale decyzje polityczne kongresu mają bardzo daleko idący zasięg. Przede wszystkim odrzucenie wniosku komunistów o afiliację. Labour Party może przyjmować na członków nie tylko jednostki, ale całe grupy czy partie polityczne, zawodowe i t.p. Komuniści od dawna starali się o przyjęcie do Labour Party, ale kongres odrzucił ich wnioski. Inną ciekawą sprawą było potępienie Niemców, „których przynajmniej większość” jest współodpowiedzialna z Hitlerem. Obie te sprawy, choć na pozór polityczne, mają swe oddźwięki zasadnicze, zwłaszcza że chodzi tu o Labour Party, która, było nie było, symbolizuje dla wielu angielski socjalizm.

Kongresy się skończyły. Delegaci rozjechali się do domów. Jednak życie polityczne toczy się dalej. Coraz nowe wydarzenia wymagają nowych decyzji i nowej postawy. To też najważniejszą rzeczą nie są takie czy inne rozgrywki lub nawet uchwały, ale kierunek, którym biegnie myśl polityczna Anglii.

Dominik Szczerbie

Przegląd polityczny

Kapitulacja Włoch rzuciła sноп światła na szereg tajemniczo i początkowo trochę niepokojąco wyglądających wydarzeń, które miały miejsce po konferencji w Quebec. Wiemy już teraz, jakie ryby łowił Churchill w Kanadzie i dlaczego po Quebecu przyszedł Waszyngton.

Nie trzeba długich rozważań, aby uświadomić sobie, jak straszną klęską polityczną jest dla Niemców ta kapitulacja. Trzasła Oś. Ta Oś, na której trzymała się cała struktura polityczna Europy pod panowaniem niemieckim. Naprawdę radio niemieckie rzuciło w świat serię wiernopoddańczych deklaracji quislingów. W głowach zarówno Niemców, jak i ich wasali, nie mogła nie zaświtać myśl: oto pierwsze szczury, które uciekają z tonącego okrętu.

Zato pod względem wojskowym udało się Niemcom znaczenie klęski osłabić. Przypomnieli światu znów te swoje właściwości, którym zadziwiający wielkie zwycięstwa pierwszych lat wojny: śmiałość decyzji, zdecydowanie, szybkość posunięć. W ciągu dwóch dni zdołali twardą stopą stanąć w całych centralnych i północnych Włoszech.

W rzeczywistości, mimo to wszystko, także i sytuacja wojskowa Niemiec w ciągu ostatnich dni gwałtownie się pogorszyła. W ręce Sprzymierzonych wpadły południowe Włochy: zdobyli oni na kontynencie europejskim rozległą bazę wypadową dla dalszych operacji. Przeszła na stronę Sprzymierzonych znaczna ilość jednostek floty włoskiej. Anglicy już przedtem panowali na morzu Śródziemnym, teraz to panowanie ich staje się zupełnym. Niemcy posiadają minimalną ilość jednostek floty na tym wybrzeżu, a linia wybrzeży włoskich jest długa. Zgóry można już przewidzieć, że brak floty będzie dla Niemców bardzo poważnym handicapem w dalszych operacjach wojennych.

A jednak nie sposób oprzeć się myśli, że mało brakowało, a linia ta mogłaby przebiegać znacznie dalej na północ. Zawiniła słaba i nieefektywna obrona miast centralnych i północnych Włoch przez wojska włoskie. W chwili kiedy słowa te są pisane, brak jeszcze danych, któreby pozwoliły bliżej zorientować się w sytuacji. Wydaje się, jakoby Włosi zupełnie nie wyszkalili tych pięciu dni, jakie upłynęły między podpisaniem a ogłoszeniem kapitulacji. Niewątpliwie, głośne krzyki Niemców, że zostali zaskoczeni przez „zdradę Badoglię”, są w znacznej mierze nieszczerze i sfabrykowane na użytek propagandy wewnętrznej. Niemcy przygotowywali się na wypadek kapitulacji Włoch. Tym niemniej sytuacja, jaka się tam rozwinęła, wyglądała paradoksalnie: tak jakby nie Włosi Niemców, ale Niemcy zaskoczyli Włochów. Wojska włoskie muszą już być zupełnie zdemoralizowane ostatnimi klęskami, skoro nie potrafiły się zdobyć na żadną skuteczniejszą akcję.

Nieskuteczności obrony włoskiej nie można jednak w żadnej mierze tłumaczyć jakimśi promienieckimi sympatiami. Kogoś, kto miał tutaj jakieś wątpliwości, musiała z nich wylecieć mowa Hitlera. Akcenty antywłoskie były w niej mocne i szczerze. Długo tajone żale znalazły tu nareszcie upust. Hitler wspominał Włochom, że nie przystąpił do wojny we wrześniu 1939 r., że bez jego pomocy czekała katastrofa już zimą 1940-41 r., że zawsze spodziewał się od nich zdrady. Zapewniał też, że wojnę na terytorium włoskim będzie prowadził teraz bezwzględnie, nie licząc się z tymi okolicznościami, które go dotychczas hamowały. Nie mógłby tak mówić, gdyby liczył na możliwość zdobycia współpracy jakichś wpływowszych kół włoskich, czy też przeciwnie, na swoją stronę znaczącej ilości wojsk włoskich. Niemcy stworzyli naprawdę marionetkowy rząd włoski, ale najwyraźniej nie spodziewają się po nim żadnych poważniejszych sukcesów politycznych.

Kapitulacja Badoglię wykopają przepaść między Niemcami a Włochami. Europie przybył jeszcze jeden naród, okupowany przez Niemców. Niemcy stracili sojusznika. Walczą sami. To poczucie osamotnienia znalazło mocny wyraz w kościwej apokryfie Fuehrera do żołnierza niemieckiego. Pozostaliśmy sami — krzychał — wszystko zależy teraz od twoich wartości bojowych. Ten akcent osamotnienia był nie tylko szczerzy, był wydarty spod serca. I właśnie dlatego szczególnie jaskrawo demaskował fałszywość aspiracji niemieckich do reprezentowania Europy i występowania w charakterze obrońcy jej interesów.

Wolno wątpić, czy Rosjanie dadzą wyraz jakiejś żywszej radości na wiadomość o kapitulacji Włoch i stworzeniu frontu włoskiego, — takie są już ich obyczaje. A przecież z kapitulacji tej wyciągają niewątpliwie wielkie zyski. Opanowanie sytuacji we Włoszech, sformowanie frontu na ziemi włoskiej, obrona wybrzeży włoskich, zastąpienie włoskich wojsk okupacyjnych na Bałkanach i we Francji, — wszystko to wymaga od Niemców ogromnego wysiłku wojennego, rzucenia do południowo-zachodniej Europy wielkich efektów, tak gwałtownie potrzebnych w Rosji. Jest rzeczą bardzo możliwą, że przyszły historyk tej wojny będzie mógł powiedzieć, iż zdobycie Rzymu okupili Niemcy stratą Stalina, że wymienili Konotop na Mediolan. I wcale nie jest rzeczą pewną, czy będzie mógł dodać, że wymiana ta była korzystna.

W ocenie sukcesów rosyjskich ludzie wahają się między dwoma ekstremami: według jednej opinii są one objawem załamania się niemieckiego potencjału wojennego, według drugiej — lansowanej przez Niemców — odwrót armii niemieckich na froncie rosyjskim jest „planowy”. Obie opinie są fałszywe. Zdać się nie ulega wątpliwości, że gdyby Niemcy mogli utrzymać na froncie rosyjskim większość swych efektów, potrafiliby powstrzymać Rosjan. Ostatecznie, Rosjanie skrwawili się nie gorzej od Niemców i na wojnie nie ma cudów.

Ale Niemcy musieli przerzucić do zachodniej Europy znaczną ilość swoich dywizji, a te które zostały, okazały się za słabe dla powstrzymania naporu rosyjskiego, mimo że starają się go powstrzymać. Nonsens bowiem niemieckich tłumaczeń o planowym wycofaniu wojsk bije w oczy. Zauważono już, że jeśli o jakimś planie może tu być mowa, jest to plan rosyjski. Trudno bowiem przypuścić, aby Niemcy przy planowym wycofaniu wojsk pozwolili sobie przeciąć komunikacje między armiami południowego i centralnego frontu przez potężny klin rosyjski, podchodzący niemal że pod Cernichów. Jeszcze trudniej przypuścić, aby „planowo” najszybciej wycofywali się z terytoriów pod względem gospodarczym najwęższych. Rosjanie, którzy najlepiej wiedzą, co o wszelkich takich akcjach „po planu” należy sądzić, muszą te tłumaczenia dobrze bawić.

Dramatyczne wypadki włoskie zepchnęły na dalszy plan wydarzenia duńskie. A są one bardzo znamienne. One również są dla Niemców poważnym ciosem. Garnizon niemiecki w Danii wynosił do niedawna około 20.000 żołnierzy. Teraz Niemcy musieli go powiększyć do 100.000 żołnierzy. Znać to, że „front duński” związał około pięciu dywizji niemieckich, tak potrzebnych na frontach rosyjskim czy włoskim. Związał ich nie mniejszą ilości niż kampania sycylijska. Najprawdopodobniej taka ilość wojska nie była konieczna do zabezpieczenia w Danii panowania niemieckiego. Sabotaże w Danii wybuchły jednak odrazu na szeroka skalę i w sposób zorganizowany. Niemcy mieli prawo obawiać się, że są one wstępem krokiem do akcji desantowej Sprzymierzonych na półwyspie Jutlandzkim.

Strona wojskowa nie wyczerpuje jednak sobą tej klęski, jaką Niemcy ponieśli w Danii. Podróżnicy zagranicą do ZSRR mogli podziwiać tam pokazowe kołchozy, w których zamieszki, syci kołchoźnicy żyli w przestronnych, elektryfikowanych mieszkaniach, korzystali z dobrze zaopatrzonych bibliotek, sal klubowych, kin, stacji doświadczeń. Otóż Dania była takim pokazowym kołchozem niemieckiego Nowego Ładu. Miała świadczyć, iż w Europie, znajdującej się pod panowaniem niemieckim, współpraca Niemców z innymi narodami może toczyć się gładko, bez uciekania się do terroru Gestapo, ba! co więcej, z zachowaniem nawet dawnej struktury politycznej państwa.

Wypadki ostatnich tygodni pokazały, że jednak nie może, Niemcy wychowali się w ideologii, która zapewniała im zwartość wewnętrzną, jednolitość decyzji i bezwzględność jej wykonania, i uważali, że są w ten sposób dobrze przygotowani do panowania nad światem. Okazało się, że są bardzo źle przygotowani i że budowanie współpracy międzynarodowej na zasadach wyłącznie brutalnej przemocy fizycznej jest budowaniem jej na zasadach fałszywych. W całej okupowanej Europie panowanie niemieckie trzyma się jedynie terrorem Gestapo, przy czym terror ten nigdzie nie jest w stanie zgnieść ruchy podziemne. Zdać się, że Dania stanowiłby jedyny wyjątek od tej zasady. Teraz okazało się, że wyjątek ten był pozorny. Trzy zgóra lata okupacji niemieckiej nagromadziły w Danii tyle nienawiści do okupanta, iż na pierwsze dane hasło wybuchła ona tak gwałtownie, iż zmiotła i rząd Scaveniusa, i wszelkie pozory harmonijnej, pokojowej współpracy.

Z punktu widzenia rachunku wyłącznie fizycznej siły fala sabotażów i buntów duńskich była szaleństwem. Zgóry było wiadomo, że Niemcy potrafią sabotaże te złamać i że wybuch ich pozabawi Duńczyków tego marginesu swobód, jakim się dotychczas cieszyli. Ale bo też wypadki duńskie raz jeszcze dowiodły, że w stosunkach między narodami rachunek wyłącznie fizycznej siły jest rachunkiem fałszywym.

Bardzo znamienne jest w tym względzie postępowanie Niemców na okupowanych przez nich terytoriach ZSRR. W pierwszej fazie swych rządów zrezygnowali oni zupełnie z wszelkich politycznych środków utrwalenia swej władzy, budując ją wyłącznie na środkach militarnych. Idąc tą drogą, najsukceszniej, jak tylko mogli, pomagali Stalinowi w organizowaniu oddziałów partyzanckich. Okazało się, że Gestapo wiąże ludność Rosji z jej reżimem silniej od Czeki, GPU czy NKWD.

Rękopisy do Redakcji należy adresować nie osobowo: — Redakcja „W Drodze”, Jerusalem, Bezalel street, House Valero.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca.

W czwartą rocznicę Września



W witrynie jednego ze sklepów jerozolimskich wystawiono staraniem Centrum Informacji na Wschodzie w czwartą rocznicę wybuchu wojny powyższą kompozycję plastyczną Zygmunta Kowalewskiego.

TARAN

Taran, Jednodniówka Podchorążych Broni Pancernej. Tel-Aviv, 1943, str. 56.

Zrodzony w jednej ze szkół podchorążych, — bodaj kawalerii, — pomysłu wydania jednodniówki dla uczczenia promocji znalazł wielu naśladowców. Śmiała bowiem szarż literacką kawalerii wsparła szybko ogniem ciężkich i lekkich dział artylerii, za artylerią ruszyli nie bardzo fortunnie — zwłaszcza pod względem graficznym — saperzy. Broń pancerna, jak na jej wagę we współczesnej wojnie przystało, szła ostatnia do ataku, nadając swemu dziełu charakterystyczną nazwę „Taran”. Treść jednak tej jednodniówki, redagowanej przez samych podchorążych — magistrów ze Zdzisławem Łukasiewiczem na czele, nie jest wcale ciężka. Wręcz przeciwnie — budzi z wielu względów zainteresowanie.

Oryginalną i śmiałą zdobyczą tej Jednodniówki jest pomieszczenie w niej artykułów nie tylko ściśle wojskowych, ale i z ducha oraz charakteru cywilnych. Odwiercając jedną z poglądów na świat „młodych podchorążych”, z których nie jeden szczyty się już szpakowatą głową, a myślami wybiega daleko poza toczącą się wojnę, usiłując skrytykować własne i kolegów poglądy na czekające nas zadania w przyszłości. Najbardziej charakterystycznym w tej grupie jest artykuł: „O ducha przyszłej Polski” Ludwika Budzińskiego. Przeszła Polska „musi być — jak twierdzi autor — syntezą idei plastowskiej i jagiellońskiej”, rozumiejąc przez to konieczność stworzenia wielkiego bloku państw sfederowanych z Polską, jako stołem państwem tego nowego tworu. Młodzieńczy temperament nie pozwolił jednak autorowi opracować szerzej poruszonego zagadnienia. W jednym artykule starał się zamknąć wszystkie problemy międzynarodowe i nasze ściśle wewnętrzne. Stąd też dalsze wywody są mniej ciekawe, chociaż autor chce w nich Polski bez proletariatu, uprzedys-

wionej przy pomocy „uczciwego” kapitału zagranicznego i t.p.

Inne artykuły „cywilne” znalazły się chyba przypadkowo w „Taranie”, gdyż trudno je połączyć ideowo i treściowo z całością. Chodzi tu przede wszystkim o „Przemysł samochodowy w Polsce”, artykuł, przynoszący szereg ciekawych szczegółów, ale nie nadający się do tego rodzaju publikacji.

W części wojskowej Jednodniówki na pierwszy plan wysuwa się praca Ludwika Budzińskiego: „Polska broń pancerna”. Jest to ciekawa i mało ogólniwna historia polskich jednostek pancernych od wojny światowej, zawierająca szereg interesujących szczegółów o udziale naszych czołgów w kampanii wrześniowej 1939 r.

Najwięcej kart tej luksusowej, na kredowym papierze wydanej Jednodniówki poświęcono wspomnieniu. Obejmują one swoim zasięgiem gościną ziemię brytyjską, pełne niebezpieczeństw oceany, Z.S.S.R., a potem Palestynę, Irak, Egipt i historyczną Gazalę, ilustrując doskonale rozległy szlak wędrówek polskiego żołnierza. Można tu znaleźć dyskretną satyrę (Refleksje „starszego pana”, Włodzimierza Toczyłowskiego) i perelki żołnierskiego liryzmu, rozsiane z wdziękiem przez Kazimierza Marchewkę w artykule „Pamiętasz?” oraz refleksyjną zadumę Zdzisława Łukasiewicza w „Diariuszu seniora Szkoły”.

Z jedenastu utworów poetyckich rozsianych wśród artykułów zasługują na wyróżnienie: „Piach, piach, piach” Jana Kudrewicza, chłodniwo-dowcipne „Fraszki” Zbigniewa Ciesielskiego oraz oryginalny „Wiersz” Jana Bieńkiewicza.

Wartość Jednodniówki podnosi artystyczna okładka oraz 136 fotografii i rysunków w opracowaniu artysty grafika Stanisława Gliwi.

Kliske wykonane starannie przeciążają jednak nieco wydawnictwo, gdyż są zbyt liczne.

Lukasz Kurdybacha

Trzy filmy polskie

W najbliższym czasie na ekrany kin palestyńskich wchodzi trzy polskie dodatki filmowe, dwa — nadesłane z Anglii, jeden — wyprodukowany na Środkowym Wschodzie, w okolicach Teheranu. Jeśli pominąć zamknięty pokaz o prywatnym charakterze, na którym wyświetlano zdjęcia dokumentarne z życia Brygady Karpackiej, — będą to pierwsze polskie filmy wojenne, pierwsze polskie dodatki krótkometrażowe, jakie zobaczy Palestyna.

Najwyższa na to pora. Nasza przedwojenna obojętność wobec spraw filmowych, puszczanie przemysłu filmowego samopas bez kontroli artystycznej, bez wykorzystania dla celów propagandowych, rozciągająca się i na okres wojenny. Podczas gdy Norwegia, która nigdy nie była potęgą filmową i nawet w Skandynawii stała daleko poza filmem szwedzkim, zdołała wyprodukować trzy pełnometrażowe filmy i wprowadzić je na rynek amerykański, my nie posiadamy dotąd ani jednego filmu artystycznego, któryby swą treścią przypominał o walczącej Polsce. Jesteśmy zdani na niezmienne smaczne pomysły lubieżowskie w rodzaju „To be or not to be”, albo na podkreślanie sympatii dla Polski w ten sposób, że Norma Shearer w jakimś tam romansie będzie się kochała w „Polaku” i mówić: „Jesteś szwinka, ale ja cie kocham”.

Zdawałoby się, że nie mamy w tej chwili reżyserów ani aktorów filmowych. Tymczasem w Anglii odrabia pałowską robotę fotograficzną Cękalski, najzdolniejszy i najciekawszy z młodszych pokolenia. Na Środkowym Wschodzie jest Waszyński, który był ojcem większości naszych filmów, a w Tel-Awiewie wypłata z rąfki, w braku rozsądniejszego zajęcia, propagandowe polskie koszyczki niewątpliwie najlepszy z naszych reżyserów, Józef Lejtes, autor „Młodego lasu”, „Dziwaczek z Nowolipki”, „Granicy”. Z aktorami też nie jest najgorzej, skoro można było oglądać film sowiecki z tymi samymi artystami, którzy dziś grają w czołówkach teatralnych A.P. na Wschodzie, albo też skoro jednego z najpopularniejszych z polskich amatorów filmowych spotkano w Aleksandrii — przyjechał na polskim transportowcu, gdzie palił pod kotłami. Praca pożyteczna, ale w filmie teżby się przydał.

Tak więc nie mamy ani filmu o Narwiku, ani o Tobruku, ani o walkach we Francji, ani o Polsce podziemnej. Zwalczają ten ostatni mógłby doskonale spełniać rolę kontropropagandową wobec brędni o polskich quislingach, na których wszelkie „Daily Worker’y”, korzystając z życzyliwych sojuszników informacji, kreują typy niemieckie

w rodzaju Kurta Hoffmanna. Trudno mi też uwierzyć, ażeby m.p. sfery żydowskie nie zainteresowały się moralnie i materialnie produkcją filmu o obronie ghetta.

Gdy więc mamy wreszcie na tutejszy teren choć trzy krótkometrażówki, trzeba sobie powiedzieć: dobrze i to.

Zwłaszcza, że dwie z nich są wyrażnie pozytywne. Dodatek o spadochroniarzach polskich p. t. „Najkrótsza droga” ma wiele dobrych zdjęć i robi na ogół miłe wrażenie. Niepotrzebny jest tylko rozwiekły wstęp, który nie wypada bynajmniej patetycznie, lecz nudnie i plakiwie. Zawodzi także czasami montaż, przeciągający poszczególne sceny i operujący zbyt mechanicznie cięciami.

Drugi film wyszukuje dawne zdjęcia z Polski, których część Cękalski prawdopodobnie przewiózł do Londynu, ponadto kto wie, czy nie ma w nim zdjęć, robionych z fotografii. W każdym bądź razie, w trudnych warunkach zdołano choć fragmentarycznie pokazać piękno Polski, by podkreślić, jakie wartości kulturalne niszczyły barbarzyńskie niemieckie bombardowanie. Zdjęcia płożące Warszawy i walk w Polsce, pożyczone z niemieckich filmów dokumentalnych, robią wstrząsające wrażenie, chociaż wadą ich jest — z naszego punktu widzenia — brak zaznaczania oporu polskiego.

Trzeci dodatek jest najmniej udany. Po dobrze pomyślanym wstępie, zaznaczającym tużący szlak uchodźców, film przedstawia życie uchodźcze w obozach pod Teheranem. Niestety, realizator zapominał, że ruch na ekranie musi być zaznaczony przez żywy montaż odpowiednio urozmaiconych zdjęć fotograficznych. Gdy tego nie ma, sceny tańca, zabawy, wypadają bezbarwnie i nużące, całość zaś ogarnia jakiś somnambuliczny rytm.

Również od strony propagandowej można temu filmowi wiele zarzucić. Demonstrowanie pracy uchodźców ma wątpliwą wartość, gdy zdjęcia dają takie wrażenie, jak gdyby każdy z pracowników o tym myślał, by się zanadto nie zmęczyć. Znamienne jest również, że uchodźcy wędrują w roku 1940 i 1941 w jakichś wschodnie nieznanym, by w roku 1942 zjawić się w Persji niewiadomo skąd. Tylko Polak zrozumie, o co tu chodzi.

zb.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Baliński
Drukarnia: The Jerusalem Press
Jerusalem, Hassolel St. 9 Tel. 2898

Nowość!

KSAWERY PRUSZYŃSKI

WALCZYMYS

SPIS ROZDZIAŁÓW:

Wśród klęski posiew zwycięstwa. — „Wykoneć Pekin!” — Podwodna Odyseja Bałtyku. — Coetguidan w Bretanii. — „Unbedingt Narvik halten”. — Lato francuskiej klęski. — Polacy w bitwie o Anglie. Pierwszy z pierwszych: dywizjon 803. — Szkocki zastój. — Marynarskie wspomnienia. — Ich zapomniana Dunkierka. — Squadron Leader Henneberg. — Zapłata za Warszawę, za Siedlce, Kutno i Wrzesień. — Szlakiem krzyżowców. — Bitwa za Atlantykiem. — Armia podziemna. — Znowu mamy armię. — Zakończenie.

Cena 200 milsów

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE” w Jerozolimie.



MASZYNY BIUROWE

Reperacje — wszelkie artykuły biurowe —
Pieczątki — Polskie czcionki do maszyn do pisania

WYPOSAŻENIE BIUROWE BRAUN & SON

TEL-AVIV, ul. Herzla 13 Tel. 2623

WIECZNA PIÓRA